

Jeszcze o gastronomii lubelskiej

Wiktor Loboda: „Gastronomia lubelska karmi nas podle... Z roku na rok jest gorsza... Dobra opinia o lubelskiej gastronomii, o jej czołowej pozycji w Polsce, jest od dawna martwym mitem, jednakże możliwym, a nawet koniecznym do ożywienia...”

Rodzinne niedyskrecje

Stanisław Harasimiuk: „Dziennik osobliwy inżyniera od 1 stycznia 1966 r. dzień po dniu odnotowuje wpływy z dokładną specyfikacją ich źródeł, następnie wydatki...”

Zmiana na lepsze

Marian Maternicki: „Na Lubelszczyźnie rzadko daje się słyszeć popularne gdzie indziej hasło „Witaj druga zmiana”, tutejszy wskaźnik zmienności kształtuje się poniżej krajowego...”

Reportaże Redlińskiego

Jacek Wegner: „Jest Redliński, powiedziałbym, reporterem nietypowym. Do publicystyki przeszedł z literatury... Nie wiem, czy to dobrze, czy to źle. Wiem natomiast, że literatura zaważyła w sposób zdecydowany na reportażach zamieszczonych w omawianym zbiorze”.

Kamena

Wychodzi od 1933 r.



Rys. A. Stok

LUBLIN 12 III 1972 Nr 6 (491)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



Władza i obywatel

Dyskusja o radach narodowych

Mówimy: nowa polityka Partii i rządu. Znamy ją z wielu ustaw i zarządzeń, z różnych decyzji i przemówień, wytyczających kierunki działania na bliższą i dalszą przyszłość, z innej niż poprzednio hierarchii zadań, stawianych do rozwiązania. Nowy Sejm, który właśnie wybieramy, będzie pracował nad dalszym pogłębianiem i umocnieniem tej nowej polityki.

Ale to na najwyższym szczeblu. A jak wygląda sprawa niżej, w radach narodowych? Właśnie tam, gdzie najczęściej dochodzi do bezpośredniej konfrontacji władzy z obywatelem, gdzie na podstawie czasu drobnych, ale dokuczliwych spraw kształtuje się codzienna opinia społeczeństwa nie tylko o przedstawicielach tej władzy, urzędnikach, ale i samej władzy szeroko rozumianej?

Na ten temat zabierają dzisiaj głos, mówiąc co nowego w radach: Szymon Arasimowicz – przewodniczący PMRN w Świdniku, Bogdan Golan – wiceprzewodniczący PWRN w Lublinie, Jan Jabłoński – przewodniczący PGRN w Wajslawicach pow. Chelm, Antoni Jędrzejczyk – przewodniczący PMRN w Puławach, Wiesław Moskaluk – przewodniczący PPRN w Chelmie, Roman Omietek – kierownik Wydziału Organizacyjno-Prawnego PWRN w Lublinie, Zdzisław Pietron – przewodniczący PPRN w Puławach i Edward Piwowarek – przewodniczący PGRN w Bochatnicy.

Edward Piwowarek

— Do historii należy już anegdota o soltysie czy przewodniczącym GRN, który nosił pieczęć za cholewą i stemplował wszystko, co mu podsuwano. Dziś GRN najczęściej jest rzeczywiście najniższym organem władzy, z każdym rokiem uśmierzając się i umacniając. Moim zdaniem jeszcze wiele spraw, zwłaszcza dotyczących rolnictwa, powinno być załatwionych w gromadach, tymczasem albo przepisy, albo różne sugestie czy bezpośrednie działania rad wyższego stopnia nam to uniemożliwiają. Ludzie coraz częściej przychodzą właśnie do nas, mówią śmiało i po imieniu o różnych bolączkach własnych i ogólnych, bo wierzą w możliwość naszego skuteczniejszego niż dawniej działania.

Oto w moim odczuciu najpilniejsze sprawy do załatwienia: 1) zmiana podziału administracyjnego, 2) jasne oddzielenie jednostkowego kierownictwa przewodniczącego GRN od decyzji kolektywu, 3) soltysi, najniższy szczebel zarządzania, od których wymaga się coraz więcej, nie mogą być społecznikami, a takimi w gruncie rzeczy są, jeżeli u nas np. średnia ich wynagrodzeń wynosi 300 zł miesięcznie, 4) dalsze ograniczenie sprawozdawczości – tylko wczoraj otrzymałem 22 formularze z Wydziału Rolnictwa PPRN, służba rolna będzie je wypełniała przynajmniej 2 tygodnie, zaniedbując bieżące sprawy, 5) weryfikacja uchwał powiatowych rad narodowych i sporządzenie jakiegoś katalogu tych, które nadal obowiązują, a byśmy przy każdym drobiazgu nie musieli wertować całej biblioteki. Myślę także, że należy nie tylko w teorii oddzielić odpowiedzialność

różnych instytucji od koordynującej roli rad. Tak np. za handel czy rozprawianie nawozów sztucznych odpowiadają gminne spółdzielnie. Rozumiem, że potrzebny tu jest autorytet rady, jej pomoc. Ale w praktyce zbyt często musimy zastępować w bezpośrednim działaniu niemrawy aparat gminnej spółdzielni. Dalej – powinna zwiększyć się waga naszych wystąpień w sprawach zmian personalnych w złych spółdzielniach. Nasze wnioski nie mogą zbyt długo krążyć w nie znanych nam korytarzach, a często powodować nawet rozpoczynanie wojny podjazdowej.

Rzeczywiście mamy pewien wpływ na ustalanie planów gospodarczych gminnych spółdzielni. Ale potem przychodzą rozdzielniki WZGS i PZGS, czasem zupełnie inne od naszego planu, np. zamiast potrzebnych siewników nawozowych dostajemy plugi, których nikt nie kupi. A jeżeli już siewniki przyjdą, to mają po 3 m szerokości. Nie można nimi wjechać na polne drogi, więc chłopcy po staremu sięją z wiadra czy z brzocho, co przecież nie zachęca do zwiększania zużycia nawozów sztucznych.

Bogdan Golan

— Nowa polityka Partii i rządu oznacza, iż uznaliśmy słusznie, że rolę nadrzędną w naszym życiu gra człowiek. Nadaje to nową treść nie tylko sprawom socjalno-bytowym, ale przede wszystkim produkcji, która przestała być celem samym w sobie, a stała się środkiem urzeczywistniającej potrzeby i pragnienia społeczeństwa. Dlatego też dążyć do poprawy warunków socjalno-oy-

(Dokończenie na str. 3)

Nasz front

Zygmunt Mikulski

MIELISMY rok obfitujący w wydarzenia polityczne. VII i VIII Plenum, VI Zjazd PZPR. Świadomość obywatelska atakowana była decyzjami o doniosłym znaczeniu. Kampania wyborcza do Sejmu miała potężnego sojusznika w tym poruszeniu umysłów, jakie spowodowane zostało powszechnie podjętą pracą nad poprawą Rzeczypospolitej.

Wyrażenie samo weszło już do słownika obiegowych zwrotów języka obywatelskiego. Posługujemy się nim nie wyłącznie w nawiązaniu do Frycza Modrzewskiego, bo dokładnie zdajemy sobie sprawę z treści, jakie aktualnie wchodzi w jego znaczenie. Dziś, w roku 1972.

A więc z wypowiedzi przedzjazdowych i zjazdowych, z głosów opinii

publicznej, ze zdań fachowców i wyznawców społeczeństwa krystalizuje się nowy sposób zarządzania państwem i to na każdym szczeblu sprawowanej władzy. Dopracowujemy się takiego stylu zarządzania, by nie konsekwentnie osiadały w instancjach o szczebel wyższy, czy objęte nim tajemniczością miały decydować o charakterze podejmowanych decyzji, ale kompetencja po stronie kierowniczej, rzeczywistość życiowa potrzeba – po stronie społecznej. Ekipa kierownicza to nie grono osób, do których należy docierać z propozycjami rozwiązań – bo, z naświetleniem sytuacji, a bywało, że i ta pozostawała poza zakresem kierowniczej znajomości – lecz reprezentacja społeczna już w swym składzie licząca ludzi zorientowanych, biegłych, a przede wszystkim podatnych na wszelkie zgodne z duchem

czasu koncepcje i rozwiązania. Chcemy, by w tym systemie sprawowania władzy znalazły miejsce wartości od dawna sprawdzone w praktyce współżycia społecznego, a nie tak dawno neglowane przez krótkowzroczność, czy niepojmowanie racji ustrojowych. Socjalizm nie jest zbiorem oderwanych od historii, od życiowego rozwoju, zmumifikowanych prawideł. Jest ustrojem otwartym na aktualność, dającym odpowiedź na pytania stawiane przez dzień dzisiejszy. Czy na tym jego wartości polega, że odpowiedzi te za każdym razem są nieomyłne? Na tym, że udziela swej aprobaty i inspiracji załączkom wszelkich spraw mogących być przydatnymi w życiu społecznym – a ten kierunek w ostatecznym rozliczeniu okazuje się nieomylny.

Więc jakie wartości są nieodzowne w krwibiegu społecznego organizmu? Przede wszystkim prawo głosu. Stan rzeczy, w którym każde stanowisko, jeśli tylko istnieje możliwość jego przyjęcia, może zostać zaprezentowane i poddane zbiorowej uwadze bez utraty jego znaczenia przez aprioryczne „tajemniczenie”. Mamy prawo mówić. Nie dla samej narodowej słabości wielosłownia, ale dla wykorzystania tej szansy, jaką daje wielowektorowość

(Dokończenie na str. 2)



KULTURA 1972

Czas pokaże...

Literatura

Ukaże się już nowy tygodnik „Literatura”, którego redakcja będzie — jak napisała w pierwszym numerze — podjmować problemy samej twórczości, wielkich zagadnień pisarskich, głównych filozoficznych prądów epoki, miejsca pisarza w społeczeństwie polskim, zagadnienia rozwoju humanistyki w dobie rewolucji naukowo-technicznej itp.

Alfred Szklarski, autor popularnych książek przygodowych dla młodzieży (łącznie nakład 7 tomów wynosi 2,5 mln egzemplarzy), których bohaterem jest Tomek Wilamowski, pisze powieść cykliczną „Złoto gór czarnych” — o Indianach, którzy najdłuższą stawali czoła białym. Jednym z głównych bohaterów będzie polski osadnik, walczący po stronie Indian.

„Literaturna Rosalja” z okazji 40 rocznicy śmierci pisarza rosyjskiego i radzieckiego Aleksandra Grina opublikowała jego nieznane dotąd opowiadanie autobiograficzne. Pod pseudonimem Al. Grina ukrywał się urodzony w Włocławcu Aleksander Hryniewski, który był pochodzenia polskiego.

Przed 140 laty powstało w Paryżu Towarzystwo Literackie, przekształcone następnie w Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie, któremu Napoleon III przyznał prawa instytucji wyższej użyteczności publicznej. Obecnie liczy ono ponad 400 członków — literatów, artystów i naukowców polskiego pochodzenia, zamieszkałych we Francji, a także w innych krajach. M. in. posiada ono jeden z najlepszych zachowanych egzemplarzy norymberskiego wydania dzieła Kopernika „O obrotach ciał niebieskich”.

Christian Pineau, dziesięciokrotny minister w czasie IV Republiki Francuskiej, wydał już dwunastą książkę dla dzieci. Są to bajki, które pisze, jak twierdzi, razem z wnukiem.

Teatr

Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie na 30 lecie PPR wystawił prapremię sztuki Andrzeja Wydrzyńskiego „Sa jeszcze ludzie”.

Krakowski Teatr Stary w czasie od 23 maja do 3 czerwca zaprezentuje na scenie londyńskiego Teatru Aldwych „Biesy” Dostojewskiego w adaptacji i reżyserii Andrzeja Wałdy.

Eksperymentalny „Teatr 51” w Londynie wystawił dwie polskie jednoaktówki: „Świadkowie” Tadeusza Różewicza oraz „Czapa” Janusza Krasińskiego.

Sztuka

Pod Wolsztynem, w pradolinie rzeki Obrzy, znaleziono ślady obozowisk łowców renów sprzed 13 tys. lat. Obozowiska reprezentuje tzw. kulturę hamburską, której stajówką znane są z terenu Holandii i zachodnich Niemiec. Od wadówek tych zwierząt uzależnione były koczownicze grupy myśliwskie.

Przy pracowni konserwacji zabytków w Krakowie powstania pierwsza w kraju pracownia konserwacji organów, współpracująca m. in. z katedrą organową KUL.

W pobliżu Budapesztu odkryto placarę, w której przed 750 laty znajdował się warsztat średniowiecznego fałszerza pieniędzy. Zachowały się przybory służące do produkcji oraz same fałszyki jak również półfabrykaty.

W Paryżu otwarto Muzeum Sztuki Popularnej, udostępniające zwiedzającym w podziemnej galerii 4 tys. eksponatów

13 tys. dokumentów, obrazujących rzeczywistość artystyczną i tradycje kulturalne z epoki przedprzemysłowej.

W pobliżu Kairu archeolodzy odkryli papiirus sprzed 4 tys. lat pisany po aramejsku. Dotyczy on planu syryjskiej inwazji na Egipt.

Grupa wybitnych archeologów amerykańskich opublikowała komunikat, który twierdzi, że znaczna część zbiorów ceramiki z epoki starszego neolitu, znajdujących się w największych muzeach świata, to dobrze zrobione fałszyki. Międzynarodowa organizacja fałszerzy ma swoją siedzibę rzekomo w Turcji.

Muzyka

W tym roku odbędą się w Poznaniu dwa konkursy międzynarodowe im. H. Wieniawskiego — od 4 do 11 maja lutnicy i od 12 do 26 listopada muzyka. Odbędzie się także międzynarodowe sympozjum lutnicze oraz wystawa, obrazująca dorobek 300 lat polskiego lutnictwa. Ekipa polskich skrzypków zostanie wyłoniona w marcu w tzw. małym konkursie, który również odbędzie się w Poznaniu.

W Operetce Warszawskiej odbyła się premiera baletu „Wieszka Isleak” Josepha Bayera. Otwiera ona cykl przedstawień przeznaczonych specjalnie dla dzieci i młodzieży.

Studencki klub „Zak” w Gdańsku ogłosił czwarty ogólnopolski konkurs improwizacji fortepianowych dla studentów i tegorocznych absolwentów wyższych szkół muzycznych. Konkerty turniejowe odbędą się w kwietniu. W planach międzynarodowy konkurs improwizacji na organach i fortepianie.

W tegorocznym festiwalu w Edynburgu (sierpień — wrzesień) wezmą udział: chór i orkiestra Filharmonii Krakowskiej, Wanda Wilkomirska, Stefania Woytowicz i Konstanty Kulka. Odbędzie się także wystawa polskiej sztuki współczesnej.

Sezon muzyczno-teatralny w Hanoi zainaugurowano premierą trzyaktowej opery Do Nuana „Różbłara”. Jest to oparta na motywach ludowych eposów o miłości i bohaterstwie w walce z najedźcą.

Film

Stowarzyszenie Dziennikarzy Zagranicznych w Hollywood uznało Jane Fonda za najlepszą aktorkę dramatyczną. Fonda niedawno zorganizowała imprezę pod hasłem „Zwolnijcie wojsko”, atakując politykę Waszyngtonu zwłaszcza w Filipinach. Impreza była pokazana na Wietnamie. Impreza była pokazana w Filipinach, Hawajach i w Japonii, do południowych części Korei i Wietnamu artystów nie wpuszczono.

Stig Bjoerkmann nakręcił dla kin studyjnych godzinny film o Ingmarze Bergmanie, pokazujący go przy realizacji filmu „Dotyk”.

Fellini ukończył po trzykrotnym przerywaniu film pt. „Rzym”. Składa się on z trzech części. Pierwsza to marzenia dziecka i prowincji o tym mieście, druga — miasto widziane oczyma młodego człowieka, który przyjeżdża tam w poszukiwaniu pracy, trzecia — osobiste refleksje Felliniego.

Greta Garbo żyje samotnie, dawne sukcesy wydają jej się nieważne wobec porażek w życiu prywatnym. Powieźła ostatnio: mężczyźni prawdopodobnie bał się mnie, budziłam zbyt duży respekt, „Boska” — to brzmiało również: niedostępna.

Włoski producent filmowy Alfredo Bini zaprosił 15 wybitnych twórców, z których każdy ma nakręcić własny przyczynek do zasadniczego tematu, jakim jest niszczenie naturalnego środowiska człowieka.

19-letnia Diana Dors prowadzi kampanię, aby wzięliom zezwoliło na stałe spotkanie się z fanami, co ma przeciwdziałać rozpłochu gwiazd i miłośników. Mał aktorci niedawno ogłosili wzięcie po raz pierwszy w życie.

Lubliniana

Na zebraniu Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich medale pamiątkowe 25-lecia pracy w prasie PRL otrzymał red. red.: Marian Wawrzewski (nośmiernie), Maria Bechewicz-Rudnicka, Halina Chybros, Oksa Gancarz, Stanisława Gogulowska, Jerzy Dostatni, Konstanty Turkowski, Ryszard Wauk i Stefan Ziemiński. Gratulujemy!

Z okazji 10-lecia Akademickiego Teatru Goni II w Chacie Zaka pokazano na wystawie układy scenograficzne kilku artystów poprzednio sztuk „Wstawa” „Warsztat, aktor, scenograf” w wielkoformatowej scenografii Leny Brańkowskiej.

W 495 rocznicę śmierci Mikolaja Kopernika Towarzystwo Naukowe KUL zorganizowało dwudniową sesję naukową z udziałem pracowników PAN i innych ośrodków akademickich. W Bibliotece KUL urządzono ciekawą wystawę.

Za występy w Agrigeno na Sytylii z okazji święta Kwitnących Migdałów Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej otrzymał puchar od burmistrza i społeczeństwa tego miasta.

Na międzynarodową wystawę filatelistyczną „Belgica 72” w Brukseli zaproszono Bolesława Sidruntę z Lublina, który pokazuje tam część swego zbioru pt. „Nigdy więcej”.

Różne

„Złoty gwóźdź sezonu 1971” w dorocznym plebiscycie „Kurierza Polskiego” zdobyła Zdzisława Sośnicka, srebrne gwóźdź „Czerwone Gitary”, Irena Kwiatkowska, Włodzisław Lubanski i Sobiesław Zasada.

Mija właśnie sto lat od chwili, gdy w dwutygodniku „Nawa” oraz tygodniku „Opiekun domowy” zaczęły się ukazywać pierwsze artykuły publicystyczne Bolesława Prusa. Dopiero 18 lat później ukaże się jego pierwsza wielka powieść — „Płocówka”.

Jak wykazały badania, do zakładowego domu kultury wrocławskiego Pałacu przychodziło codziennie 300 różnych klubów największym powodzeniem cieszą się kluby kobiece współczesnej i młodszych fotografów. Ostatnio dużym powodzeniem cieszą się także wieczory jubilatów, organizowane dla długoletnich pracowników wydziałów produkcyjnych.

Bydgoszcz otrzymała specjalny budynek na Ośrodek Krzewienia Kultury, a tamtejszy teatr zostanie przebudowany i zmodernizowany.

Piszę te słowa — z uwagi na harmonogram druku „Kamery” — na gorąco wieczorem, 27 lutego. Właśnie przed chwilą Polskie Radio podało informację o końcowym efekcie wizyty prezydenta Nixona w Chińskiej Republice Ludowej: w Szanghaju wręczono dziennikarzom tekst wspólnego komunikatu amerykańsko-chińskiego. W wersji angielskiej liczy on 1500 słów.

Obie strony, jak wynika z treści tego dokumentu, pragną normalizacji stosunków wzajemnych. Ani Chiny ani Stany Zjednoczone nie będą dążyć do hegemonii w rejonie Azji i Pacyfiku oraz będą się sprzeciwiać dążeniom krajów trzecich do hegemonii w tym rejonie. Żadna ze stron nie weźmie udziału w paktach wymierzonych przeciwko drugiej stronie.

Interesujące są również dodatkowe deklaracje, w tym najnowszej komentarzy wywołał fakt uznania przez Waszyngton Tajwanu za integralną część Chin. Jakkolwiek dodany natychmiast przez Klinsgera komentarz stwierdza, że dotychczasowy układ wojskowy między Waszyngtonem a Tajwanem pozostaje w mocy, to jednak ten fragment komunikatu wywołał szok wśród przywódców tajwańskich. Ich niepokój wzmożła jeszcze zapowiedź stopniowego redukcji instalacji wojskowych i amerykańskich sił zbrojnych przebywających na wyspie. Natomiast pewną nadzieję wśród przywódców tajwańskich wzbudził fakt, że nie podano konkretnej daty wycofania się Amerykanów z Tajwanu.

Komunikat szanghajski nie przyniósł nic nowego w sprawie Wietnamu, chociaż sąjgońskie twierdzą, że Nixon zawarł w Pekinie jakieś tajne porozumienie w tej sprawie. Dodajmy, że z Czou En-laiem spędził on łącznie 40 godzin, z tego co najmniej 20 na rozmowach politycznych.

Specjaliści od spraw chińskich przebywający w Hong Kongu — opieram się dalej na doniesieniach Polskiego Radia — podkreślają, że Nixon dał Chińczykom maksimum tego, co mogli: koncesje w sprawie Tajwanu, natomiast Pekin dał znacznie mniej: zgodę na dalszą wymianę kontaktów oraz zgodę na przybycie do Pekinu „od czasu do czasu” — jak to podkreślono w komunikacie — wyższego funkcjonariusza administracji waszyngtońskiej. Komentarzy zwracają także uwagę na zapowiedź wymiany naukowiec i przedstawicieli życia kulturalnego obu stron oraz na zapowiedź wzmocnienia wymiany gospodarczej.

Moskiewska „Prawda”, omawiając wizytę prezydenta Nixona w Chinach, pisze, że Pekin, dążąc do rozbięcia i rozsadzenia od wewnątrz sił wywoleńczych, wykorzystuje szeroko ideologię nacjonalistyczno-burżuazyjną. Czas pokaże, jakie będą rezultaty wizyty Nixona w Pekinie. Podjęty wokół niej przez prasę burżuazyjną szum nie jest jednak w stanie zagłuszyć huku amerykańskich bomb i pocisków rozrywających się w Indochinach.

Pozostaliśmy przy stwierdzeniu „Prawdy”, że czas pokaże, jakie będą rezultaty wizyty prezydenta USA w Chińskiej Republice Ludowej. Jest faktem bezspornym, że polityce uśmiechów towarzyszyła nasilająca się agresja wojsk amerykańskich w Wietnamie. Gdy Nixon konferował w Pekinie, delegaci Demokratycznej Republiki Wietnamu i TRRRWP opuścili salę obrad w Paryżu na znak protestu przeciwko bombardowaniu Indochin. Korespondenci zachodni uważają to za demonstrację samodzielnego stanowiska Hanoi wobec wszelkich przetargów w sprawie zakończenia wojny wietnamskiej, jakie mogłyby się odbywać w Pekinie między przywódcami USA i ChRL. Rzecznik delegacji DRW odpowiedział na pytania dziennikarzy, że jeśli Stany Zjednoczone chcą pokoju, to muszą pozytywnie — i to w Paryżu — odpowiedzieć na nasze prośby.

Wizycie prezydenta Nixona w Chinach towarzyszyła prawie 100-osobowa grupa dziennikarzy, w większości telewizyjnych. Ponieważ przywódcy obu państw zachowywali jak najdalej idącą dyskrecję, można było tylko spekulować i obserwować. Dużą aktywność wykazała sama pani Nixon. W czasie wizyty w kuchni

hotelowej mówiła ona z entuzjazmem o potrawach chińskich, zapowiadając, że jej małżonek będzie musiał zapewne po powrocie poddać się kuracji odtłuszczającej (na marginesie mówiąc, taka kuracja nie grozi olbrzymiej większości Chińczyków). W ZOO pani Nixon wyraziła radość z powodu decyzji władz chińskich podarowania Amerykanom dwóch niedźwiadków panda, które, jak oświadczyła, będą „pierwszymi ambasadorami Chin w USA”. Z uwagą przysłuchiwała się małżonka prezydenta USA, gdy w czasie wizyty w szkole dzieci chińskie śpiewały: „Kocham naszego wielkiego przywódcę przewodniczącego Mao... Przewodniczący Mao prowadzi nas w przyszłość”.

Dziennikarze z braku informacji o przebiegu rozmów notowali wszystko, co tylko mogli. Swym czytelnikom przekazali również słowa jednego z dziennikarzy chińskich, który na zapytanie, czy w Chinach nie żywi się obaw przed rakim płuc, odpowiedział: „Nie. Przewodniczący Mao dużo pali. Twierdzi on, że jest to rzecz wysoce patriotyczna. Widzi pan, fabryki papierosów należą u nas do rządu, a rząd trzeba popierać”.

Al... Z przeszłości, znużenia, czy też w trosce o to, aby łagodzić kontrasty, niektórzy dziennikarze przestali się zachowywać jak dyplomaci. I tak do „Washington Post” przedkładał takie słowa z wizyty w Uniwersytecie Pekinckim: „Niemal teologiczna w stylu i treści dyskusja toczyła się jawo przez wiele godzin. Wyzniliśmy z uczuciem, że poprawa wzajemnego zrozumienia między Amerykanami a Chińczykami zajmie więcej czasu niż porozumienie między Nixonem a Czou En-laiem”. Korespondenci odnotowali też, że gdy pani Nixon zwręczała komunię ludową i fabrykę szkła, pytając kilkakrotnie robotnic, czy im coś mówi nazwisko Nixon, otrzymywała odpowiedzi przeczące, lub wyjaśnienia, że z nazwiskiem tym spotkały się dziś po raz pierwszy w trakcie lektury „Zemniżpiao”.

Stała się zresztą rzecz bez precedensu: w tym właśnie dniu czołowy chiński dziennik zamieścił aż siedem zdjęć prezydenta USA!

Nie brakło w czasie wizyty, mimo że wszystko było dokładnie wyreżyserowane, i pewnych potknięć. Na przykład w centrali obsługi prasowej gospodarze nie przygotowali ani skrawka papieru. Z kolei zaproszenia na bankiet zorganizowany przez stronę amerykańską były wydrukowane według wzorów tajwańskich, bez uwzględnienia zmian w piśmowni, przeprowadzonych w ChRL. Kiedy znów zawiodła aura i mogły wyniknąć trudności w zaplanowanym zwiedzaniu przez Nixona Muru Chińskiego, zgonioną kilka tysięcy osób do sprzątania śniegu na 60 kilometrowej trasie.

W telewizji polskiej mieliśmy możliwość oglądania fragmentów filmu z wizyty Nixona. Zwróciłem uwagę na taki obrazek: prezydent USA pomaga zdjąć płaszcz premierowi ChRL. Niby drobniaczek, zwykła grzeszność. Ale 18 lat temu ówczesny sekretarz stanu USA, Dulles, pytał w Berlinie: „Któż to jest ten Czou En-lai? Nicco później w Genewie ten sam Dulles nie podał ręki premierowi ChRL. Zestawienie tych dwóch faktów ma głęboką wymowę polityczną.

Czas pokaże — wracam do stwierdzenia „Prawdy” — jakie będą rezultaty wizyty Nixona w Chinach. Można by jej przyklasnąć, gdyby uprzednio Chiny nie zerwały jednoci obozu socjalistycznego ani nie zadały ciosu międzynarodowemu ruchowi komunistycznemu. Antyradzieckość, niezależnie od tego, skąd ona wychodziła i jakie były jej intencje, zawsze służyła i służy sprawie imperializmu w świecie. Jeśli złagodzenie napięcia chińsko-amerykańskiego pociągnie za sobą automatycznie wzmocnienie ataków przywódców pekińskich na Związek Radziecki, na inne kraje socjalistyczne, jeśli zaogni konflikt indochiński — sytuacja międzynarodowa ulegnie zaostreniu. Na pewno jednak raczej ma „France-Nouvelle” pisać: „Już dziś Nixon może chętnie się swą inicjatywę wobec wyborców amerykańskich i mieć nadzieję, że odniesie zwycięstwo w przyszłych wyborach prezydenckich”.

Al... czy tylko taki był cel wizyty? (j)

Nasz front

(Dokończenie ze str. 1)

treści składających się na pulę środków służących naprawie Rzeczypospolitej. Powiedzenie Lenina o pracce, która rządzi państwem, jest metaforą i nikt sensownie nie będzie się domagał przeprowadzenia każdej państwowej decyzji przez Instancje tak odległe od ośrodków analizy i orientacji, ale żaden punkt widzenia, niczyj interes nie może być stoperdowany pozornie przekonującymi, ale zakamuflowanymi na pozycjach sobiepaństwa, czy bezdusznosci teorykami, będącymi w gruncie rzeczy recydywą dawnego porządku.

Wyższa orientacja polityczna. To bardzo często tym sloganem zasłaniała się praktyka kierownicza lekceważąc zasady demokratyczne w przekonaniu, że masy nie dorosły do rozumienia prawidłowości rozwojowych. Już w takim postawieniu sprawy tkwi groźba dla normalnego „sprzężenia zwrotnego” między rządzącymi a rządzonymi, a dodajmy, że często służyło to interesowi jednostkowemu na zasadzie nie tylko tłumienia krytyki, ale deformowania obrazu rzeczywistości — strącającemu się w piórka ofiarne służby społecznej. To prawda, że po obu planach i po Zjeździe w tym zjawisku możemy mówić już w czasie przeszłym politycznie skończonym, ale nie przesadnie będzie bacznie, by z tej czy owej strony nie pojawiła się możliwość nawrotu do dawnych postaw przybranych w nowe garnitury.

Jesteśmy przed wyborami do Sejmu PRL. Chcemy, by szósta jego kadencja miała związek nie tylko cyfrowy z szóstym Zjazdem Partii. Niech weźmie wszystko z jego ducha i gospodarskich postanowień, niech przedłuży o cztery lata atmosferę obywatelskiej troski, zanim stałofe najwyższej reprezentacji narodu przekaże następną kadencję. We wszystko, co się teraz dzieje na arenie życia publicznego, wkładamy tak wiele zaangażowania, ponieważ wiemy, że czas jest ważnych decyzji, decyzji znaczących dla przyszłego rozwoju naszej ojczyzny.

Właściwie może by o tym nie należało wspominać, ponieważ sformułowanie samo nie tylko ma wszelkie szanse przeżyć się ku komunafowi, ale cokolwiek pobrzmiwa deklaracją. A deklaracji mielibyśmy dość i dziś przede wszystkim liczymy osiągnięty konkretny produkt, wyprodukowany towar. Czy dlatego, że zwyciężyła w nas duszycka posiadacza i rezygnujemy z wielkich ideałów społecznych? Dlatego, że pod płaszczykiem sloganów łatwo ukrywa się niesprawdzałość i im płaszczyk deklamatorsko kunsztowniej, tym łatwiej beztrzesco, egalizmo ukrywać właściwą twarz. Więc wolimy poczekać, aż słowa zostaną sprawdzone przez wymiarę społecznej rzeczywistości, a wtedy ex post chętnie im przyznamy walor słachatności. Jeżeli ocena wypadnie dodatnio.

Co przede wszystkim da nas samych się odnosi. Jednym z najpoważniejszych rezultatów wydarzeń, które miały miej-

sce w tym kraju w ciągu ostatniego roku, jest zdozwowienie sakramentalnego kiedyś podziału wyrażanego zaimkami „my — oni”. „My” — ci rządzeni, „oni” — rządzący. Coraz wyraźniej w świadomości społecznej zajmuje miejsce przekonanie, że „ich” nie ma. Jest natomiast reprezentacja narodu wysunięta do kierowania z nos i przez nas wszystkich, na tyle autorytatywna i na tyle skuteczna w działaniu, na ile wsparta codziennym czynem przez całość pracującego społeczeństwa. Możliwe, że ów podział było niektórym podtrzymać dość wygodnie. Bo to wprowadzić z jednej strony odbierało przynależność do grupy kierowniczej, ale z drugiej — jakże miło zwalniała od odpowiedzialności. Brak mieszkań? „Oni” nie zbudowali. Kolejki w sklepach? „Oni” nie umieją unormować dystrybucji. „Oni” nawalili z dostawą materiałów, w związku z czym front robót przesuwa się w kierunku budki z piwem.

Odpowiedzialność. Kontrola tej odpowiedzialności. Zdajemy sobie sprawę, że robimy nie „im”, lecz sobie. I sobie na złość, jeśli robota jest do niczego, artretycznie wykręcona partactwem, służy mydleniu oczu i liście nadgodzin, a nie zaspokojeniu życiowej potrzeby. Wybieramy do Sejmu nowych ludzi. Ale chodzi również i o nowe — a nowe przez to, że skuteczniejsze — wartości społeczne, które kierujemy na budowę przyszłego gmachu Rzeczypospolitej. Prześcierajmy, by w tym materiale nie było usterek.

Po raz szósty w Polsce Ludowej znajdujemy się przed urną wyborczą. Zdajemy sobie sprawę z wagi tego wydarzenia, gdyż za każdym razem wybieramy reprezentację narodu w pierwszym rządzie odpowiedzialną za kierunek i tempo rozwoju. Za przyszłość. Idziemy do niej szerokim frontem. Frontem Jedności Narodu.

Zygmunt Mikulski



Joey Heatheron, piosenkarka i aktorka dramatyczna występuje w głównej roli w nowym filmie Richarda Burtona. Pioskarka mówiła na ucho, że ma wszelkie szanse zająć miejsce Liz Taylor w prywatnym życiu Burtona.

Kamena str. 2



Szymon Arasimowicz Bogdan Golan Jan Jabłoński Antoni Jędrzejczyk Wiesław Moskaluk Roman Omiotek Zdzisław Pietron Edward Piwowarek

(Dokończenie ze str. 1)

towych oraz odpowiednie ukierunkowanie produkcji stają się nadrzędnymi zadaniami rad narodowych wszystkich szczebli. Na pierwsze miejsce bezwzględnie wysuwają się problemy mieszkaniowe oraz pełne zaopatrzenie rynku w artykuły spożywcze i przemysłowe, następnie szeroki rozwój usług, oświaty, kultury, wypoczynku, opieki lekarskiej. Ale pierwszy i — niestety — najtrudniejszy to problem mieszkaniowy. Nasze województwo ma najwyższy w Polsce wskaźnik zagęszczenia na izbę oraz najwyższy w ostatnich latach wskaźnik przyrostu ludności miejskiej. Dlatego też wspólnie z KW PZPR przyjęliśmy, że mimo wysokiego planu na bieżącą pięcioletkę, 27 800 izb, w praktyce musimy wybudować przynajmniej 32 000 izb i z tej wielkości będziemy wszystkich rozliczali.

Wszędzie, gdzie to możliwe, zapalamy zielone światła dla nierolniczego budownictwa indywidualnego. W ub. pięcioletce uzyskaliśmy w tej dziedzinie 3600 mieszkań, na bieżącą zakładamy 5800 i uważamy, że jest to w pełni realne. Już prawie wszędzie są wyznaczone lokalizacje. Ale rzecz w tym, że przepisy zbyt utrudniają radom wywłaszczanie terenów pod takie budownictwo. Od nowego Sejmu oczekujemy tu odpowiedniej ustawy, która z jednej strony uprości formalności, ale z drugiej strony określi nowe warunki, znacznie korzystniejsze dla wywłaszczanych, aby nie czuli się oni pokrzywdzeni.

Nierzywnie trudnym problemem dla rad jest uporządkowanie miast. Chodzi o wodociągi, kanalizacje, ulice, warunki sanitarne — były już przecież epidemie w Chełmie, Świdniku i Kraśniku. Na te cele mamy więcej niż w poprzedniej pięcioletce, ostatnio od pierwszego zastępcy przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów otrzymałem dodatkowe środki — ale wszystko to jeszcze nie wystarcza na najpilniejsze potrzeby. Sądzę, że w rocznych planach operacyjnych będziemy otrzymywali jeszcze więcej. Liczymy także na czyny społeczne.

Wiemy, że będą kłopoty z materiałami budowlanymi, zwłaszcza instalacyjnymi. Mamy w województwie 2500 domków w stanie surowym, których z powodu braku tych materiałów nie można wykończyć. Podejmujemy tu różne zabiegi. Ostatnio np. KW PZPR nawiązał kontakty ze Śląskiem i za nasze artykuły rolno-spożywcze otrzymamy pewne ilości materiałów instalacyjnych. Ale trzeba będzie jeszcze poszukać innych źródeł.

Zarządzanie i gospodarowanie po nowemu to znaczy również z całkowitą osobistą odpowiedzialnością za wykonanie zadań. W przypadku rad chodzi zarówno o ich działalność bezpośrednią, jak i koordynacyjną. Odpowiedzialność ta wzrasta zwłaszcza w sytuacji, gdy w jakimś konkretnym przypadku obowiązujący przepis resortowy okazuje się niemierny. Rada lub jej prezydium, i to każdego szczebla, może wydać inną decyzję, niż to ów przepis wykonałby przewidując, chociaż nie wolno, naturalnie, łamać ustawy czy jej ducha. Ta inna decyzja musi jednak być korzystniejsza społecznie — ocena zaś tej decyzji wymaga dużej odpowiedzialności. Nie wolno od tego uciekać, ale i nie wolno nadużywać.

Szymon Arasimowicz

— Wydaje mi się, że rady mają za dużo kontrahentów w ramach koordynacji i często jest to tylko fikcja. Bo jakże np. oddziaływać na inwestycje, jeżeli w tej dziedzinie niezależnie od nas wytworzyła się bardzo duża i pokrecona drabina zależności. Czy szczyt aparatu rady może uzgodnić wszystko na różnych szczeblach tej drabiny, znajdujących się często poza powiatem, a nawet poza województwem? Podobnie w usługach — trzeba rozma- wiać osobno z PKS-em, osobno z koleją, osobno z każdym rodzajem spółdzielczości i wielu innymi jednostkami. Te wieloszczeblowe zależności prowadzą do biurokracji. Jeżeli mamy być autentycznym gospodarzem terenu, to te sprawy trzeba uporządkować. A z drugiej strony — nasza MRN w 25-tysięcznym mieście ma takie same uprawnienia, jak najmniejsza gromadzka rada.

W gospodarce mieszkaniowej bardzo nam przeszkadzają obecne przepisy meldunkowe. Ludzie mogą się meldować fikcyjnie, użytkować mieszkania w innych miejscowościach. W ten sposób radom przepada wcale nie tak mała pula mieszkań.

Świdnik jest przykładem dorastającego dziecka, które stale chodzi w zbyt małym ubraniu. WSK rośnie, miasto też, ale inwestycje towarzyszące nie nadążają. Stąd powstają takie paradoksy jak w naszym MHD. Otrzymuje ono pierwsze miejsca za różne wskaźniki. Ale te wskaźniki są wynikiem zarówno dużej siły nabywczej ludności w u- przemysłowanym mieście, jak i najniższej w województwie sieci sklepów. Gdy obroty dziel się przez liczbę pracowników lub metry kwadratowe, wszystko wygląda imponująco. Natomiast to, że klienci godzinami stoją w kolejkach, że

Największe cieżki od społeczeństwa w tym od pracowników budownictwa, jeśli chodzi o ich sprawy prywatne, zbieramy za nieterminowe i złe jakościowo inwestycje. Ale chyba nie tylko u nas wykonawca robi przede wszystkim to, co łatwiejsze, co daje większy przerób, co zapewni mu premię, my zaś wobec takiej polityki jesteśmy bezradni. Coś tu się nie zgadza.

Obecna polityka zmierza do tego, aby tworzyć silne ośrodki administracyjne. Wydaje się, że istota polega nie na tym, jaki jest szczebel tego ośrodka i komu dana rada podlega, ale jak ta rada jest przygotowana do pełnienia nowej roli. Wiele tu jest jeszcze do zrobienia w naszej MRN i w radach gromadzkich. Chodzi nie tylko o formalne przekazywanie uprawnień, ale głównie o realne możliwości korzystania z nich. Jeżeli nie będzie

stwierdzamy, że jest zapotrzebowanie na władzę silną, konsekwentną, ale i sprawiedliwą. Duża liczba skarg, płynących do wyższych instancji oraz redakcji pism świadczy, że funkcjonalność rad narodowych nie jest jeszcze właściwa. Mam wrażenie, że jest to m. in. wynikiem niedocenia roli i znaczenia wydziałów powiatowych rad narodowych, a przede wszystkim ich kierowników. W Chełmie postawiliśmy właśnie sprawę zasadniczej odpowiedzialności nie Prezydium, ale wydziałów i kierowników. Oni muszą podejmować w pełni samodzielne decyzje, ale i za nie odpowiadać. Błędna decyzja można zmienić, ale lepsza jest zła decyzja niż żadna. Obywatel nie chce bez końca chodzić tu i tam, zbierać papierków i obietnic.

Tu wylania się sprawa doboru kadr. Jak dotychczas społeczeństwo nie widziało w kierowniku wydziału jakby swego rodzaju ministra na terenie powiatu, zawsze eksponowanego prezydium. Bardziej też dbano o to, aby był odpowiedni prezes w spółdzielni, np. stolarzy, niż aby był odpowiedni kierownik wydziału. Tymczasem właśnie od nich, a także od przewodniczących i sekretarzy rad gromadzkich, zależy, jak w praktyce kształtują się stosunki o- bywatel — władza. Nastroje na wsi po zniesieniu dostaw obowiązkowych i wielu innych zmianach w polityce rolnej są bardzo dobre. Okazuje się jednak, że opinie o władzy kształtują także inni ludzie, nie będący pracownikami jakiegokolwiek urzędu. Przed sesją PRN przeprowadziliśmy zebrania w 127 wsiach. Okazało się, że opinie o władzy, szeroko rozumianej, wyrabia sklepowa czy sklepowa gminnej spółdzielni. Gdy zabraknie chleba, bo sklepowa bimb- a sobie z pracy, ludzie przychodzą do gromadzkiej czy powiatowej rady i mówią: jaka wy jesteście władza... Na tych zebraniach stwierdziliśmy też, że nie ma żadnych obiektywnych przyczyn, aby wieś — wyl- ążając jeszcze mięso — była źle zaopatrzona.

Nie chcę generalizować sprawy, ale my także odczuwamy pewien niedowład spółdzielczości wiejskiej, wobec której nie mamy żadnej egzekutywy, bo to przecież samorząd. A równocześnie wielu dobrych przewodniczących chętnie idzie na prezesów spółdzielni — kłopotów mniej, pensja wyższa, masarnia pod bokiem, samochód do dyspozycji. Tę sytuację trzeba naprawić. Mimo to myślę, że rady narodowe i ich organa dość wyraźnie poprawiają swoją pracę. Chodzi jeszcze o to, aby odpowiedzialni pracownicy rad byli nie tylko dobrymi urzędnikami, ale indywidualnościami, które mają o- sobisty autorytet w społeczeństwie nie dlatego, że pełnią jakąś funkcję — bo to autorytet formalny i pozorny — ale że swoją funkcję pełnią dobrze. Mogą nawet być przez niektórych nie lubiani, ale powinni być przez wszystkich szanowani.

Zdzisław Pietron

— Jeżeli chodzi o przekazywanie uprawnień, to — formalnie biorąc — prawie nic nie splaya do nas z PWRN, w konsekwencji i w dół od nas. Myślę, że to przyjdzie w niedalekiej przyszłości. Dla odmiany nie ulega wątpliwości, że znacznie zwiększyła się operatywność i inicjatywa rad powiatowych i gromadzkich, co już oznacza duży postęp. Wydaje mi się również, że są stwarzane warunki do lepszej organizacji oraz bardziej właściwego podziału kompetencji. Np. budownictwo wiejskie przechodzi do wydziału rolnictwa i nie stoi na przeszkodzie temu, aby Wydział BUA PPRN przeszedł do PMRN, bo będzie zajmował się tylko sprawami miejskimi.

Odczuwamy ogromne zainteresowanie społeczeństwa usprawnianiem nie tylko zresztą naszej pracy, widzimy współdziałanie społeczeństwa w tworzeniu tego, co nazywamy nowe. Wyrazem tego są chociażby zobowiązania załóg o wykonaniu dodatkowej produkcji — u nas już wartości 55 mln zł. My jako rada myślimy o tym, jak ułatwić Eołogom wykonanie tych zobowiązań z pożytkiem dla wszystkich, ale trzeba prawdę powiedzieć, że nie mając wobec przedsiębiorstw odpowiednich uprawnień, nie możemy tego całkowicie zrobić, chociaż takiej odpowiedzialności często się od nas wymaga.

Jako radzie powiatowej chodzi nam o to, aby wzmocnić rolę rad gromadzkich, zwłaszcza jej przewodniczącego i to w stosunku do każdej organizacji gospodarczej, spółdzielczej czy społecznej. Prezydium GRN musi czuć się władne postawić im konkretne zadania i rozliczać je jeżeli nie formalnie, to społecznie. Dalej — w naszej działalności powinniśmy się stawać nie tylko coraz bardziej aktywni, ale i agresywni w podejmowaniu nowych zadań, nie ujętych w dotychczasowych planach czy programach. To wymaga zwiększenia odpowiedzialności, o czym już tu była mowa. I chyba na tym polega sens aktualnych zmian w kraju.

Roman Omiotek

—Ustawa o radach narodowych jest ostatnio dość ostro krytykowana. Bo np. gromadzkie rady powinny w ciągu roku urządzić 8—12 sesji. W praktyce nie było to potrzebne, więc albo ustawy nie wykonywano, albo robiono sesję dla statystyki, a sekretarz rady nie zajmował się pracą merytoryczną, lecz organizował sesję i pisał z niej sprawozdania. Niedawno we Włodawie odbyła się sesja wyjazdowa Prezydium WRN. Towarzystwo z Włodawy gesto tłumaczyli się, że nie urządzali po 12 sesji w GRN-ach. Na pytanie, co przez to owe rady straciły, odpowiedzieli zgodnie z prawdą — nic. Więc po co było je robić?

Co jest nowego w działalności WRN i jej Prezydium? Przede wszystkim postanowienie, aby nie o wszystkich sprawach debatowano na tych gremiach, pozostawiając decyzję w wielu sprawach kierownikom wydziałów, którzy już teraz nie będą mogli się asekurować uchwałą Prezydium.

Skarżono się tu na olbrzymią liczbę uchwał. I słusznie. Od 1950 roku Prezydium i plenum WRN podjęły 9864 uchwały i formalnie prawie wszystkie obowiązywały. W tym roku zostały one zweryfikowane i pozostało tylko 263. Liczba podejmowanych uchwał w przyszłości zostanie znacznie ograniczona na rzecz bieżących decyzji kierowników wydziałów. Ponadto weryfikacja będzie odbywała się co dwa lata. Każda nowa uchwała będzie miała z góry określony termin działania, dzięki czemu odpowiedzialnych będzie można rozliczać z jej wykonania. Wreszcie obowiązkiem rady prawnej jest czuwanie nie tylko nad zgodnością uchwały z zasadniczymi przepisami, ale i nad celowością wydania samej uchwały.

Jeżeli chodzi o tzw. styk obywatel — urząd Prezydium postanowiło, że interesanta należy zalać natychmiast, możliwie od ręki, nie czekając dwumiesięcznego terminu przewidzianego przez KPA, jeżeli taki termin nie jest konieczny. Ponadto, gdy do sprawy trzeba załączyć tzw. załączniki od innych organów państwowych, to o te załączniki musi postarać się we własnym zakresie zalać interesanta wydział, a nie on sam. Obowiązuje to również w radach powiatowych. Wiemy, że są tu i jeszcze będą opory, bo łatwiej wysłać do innego biura interesanta, niż samemu popracować, ale taki tok obowiązuje i będzie musi nadzorować jego wykonanie. Postanowiliśmy także, że wszystkie rady w województwie pracują w jednakowych godzinach, co zaoszczędzi ludzkiem wiele cennego czasu.

Mówiono tu dużo o kompetencjach rad. Moim zdaniem, rady wciąż jeszcze nie wykorzystują w pełni swoich uprawnień. Ale dalsze też będą splaywały z wyższego szczebla. Uważam za słuszne, aby gromadzkie rady narodowe niemal we wszystkich sprawach były pierwszą instancją, a powiatowe drugą — podczas gdy obecnie pierwszą są rady powiatowe, a drugą rada wojewódzka, ta ostatnia czasem nawet pierwszą.

Podstawowa sprawa to rzeczywistość kadry. Trzeba zrobić wszystko, co możliwe w wielu kierunkach, aby na odpowiedzialne stanowiska byli powoływani ludzie mądrzy, rozumiejący życie, wykształceni, odważni i odpowiedzialni.

Zanotował: J.D.

Władza i obywatel

wielu towarów nie ma gdzie zmieścić i trzeba po nie jeździć do Lublina — już się ani we wskaźnikach, ani w sprawozdaniach handlu nie mieści. Ludzie irytują się i przychodzą do nas. Podobnie ze szkołami. Wszystkie pracują na trzy zmiany, w klasach jest po 40 dzieci, a my nie mamy możliwości poprawienia sytuacji, chociaż mieszkańcy od nas oczekują działania.

Antoni Jędrzejczyk

— Nowe przepisy w sprawach mieszkaniowych dały obywatelom wiele dobrego, ale MRN ma dwa razy więcej kłopotów — liczba wniosków o mieszkania zwiększyła się gwałtownie z 300 do 600, a to pewnie nie koniec. Ludziom należy się większe mieszkania, więc piszą podania i przychodzą, a tymczasem mieszkaniowe inwestycje rady narodowej nie nadążają za społecznymi potrzebami. Mamy dokumentację, są lokalizacje, jest poszukiwanie roboty przedsiębiorstw, liczba ludności wciąż rośnie — ale władza wojewódzka nie jest dla nas zbyt hojna, wszystkiego trzy budynki na pięcioletkę. Stąd u nas na styku obywatel — MRN nie jest najlepiej.

Została w Puławach uźbrojona ul. Mickiewicza, ale na bieżącą pięcioletkę nie otrzymaliśmy pieniędzy na położenie nawierzchni. Rzecz w tym, że w planie centralnym nie możemy przerzucić środków z jednego resortu na drugi, w planie terenowym tylko częściowo. No i ulica niby jest, ale w rzeczywistości jej nie ma, bo w jakiejś przegródce skończyły się limity. A obywatel widzi ową „ulicę” i odpowiednio to komentuje.

W zbyt wielu sprawach, co zresztą wynika z przepisów, jesteśmy tylko dublerem PRN. Drastyczny przykład: Prezydium MRN 42-tysięcznego miasta nie może wydać nakazu zburzenia walącego się parkanu, może najwyżej zgłosić wniosek, decyduje kierownik Wydziału BUA w PPRN, który owego parkanu może nie widzieć, ale musi wyrazić zgodę na piśmie. Nie mamy również prawa wydać lokalizacji np. na kiosk z kwiatami, bo to leży w kompetencji Wydziału Handlu PPRN. Prawdę powiedziawszy w praktyce przywłaszczaliśmy sobie wiele uprawnień za milczącą zgodą PPRN, ale tylko prawem kaduka. Gdyby było inaczej, chyba nie mielibyśmy takich Puław, jakie mamy. W całej sprawie nie chodzi nawet o to, abyśmy stali się miastem wydzielonym, ale aby drugie co do wielkości miasto w województwie nie musiało mieć takich samych praw, jak najmniejsza GRN.

odpowiedniego etatu dla kierownika wydziału, nie będzie odpowiedniego człowieka, który mógłby w imieniu rady pryncypialnie rozstrzygać ważne problemy.

Jan Jabłoński

— Ludność wiejska jest ostatnio bardzo zadowolona z objęcia jej bezpłatną opieką lekarską. Mamy piękny ośrodek zdrowia, szpital w tym, że razem ze znacznym zwiększeniem pracy ośrodek nie otrzymał ani lekarza, ani dentystry. Cieszy rolników zniesienie dostaw obowiązkowych, bo to zwiększyło ich dochody. Mamy kłopot z gospodarstwami, na których zostali tylko ludzie starsi. Jest takich gospodarstw około 20 proc. Dotychczasowy system rent jakoś nie rozwiązał tej sytuacji, trzeba poszukać innego.

Z radością powitali chłopcy zarządzenie o uwłaszczeniu. W naszej gromadzie ma to nastąpić w 1974 roku, ale komasacja dopiero w 1975, chyba powinno być odwrotnie. Sprawa zaś jest pilna, bo na 1574 gospodarstwa mamy ponad 600 fikcyjnych pozycji własnościowych.

W naszym Komitecie Gromadzkim PZPR powstał wysunięty przez samych rolników projekt, omawiany potem na plenum KP, aby pozostającą na wsi młodzież objąć obowiązkowym szkoleniem rolniczym. Jeżeli podobne szkolenie wprowadzono w miastach, nie widzimy powodu, aby rolnicze nie prowadzić na wsi.

Nie tylko stoczniovcy, górnicy czy hutnicy pomagają tow. Gierkowi — i sobie. Mamy bardzo duże osiągnięcia w czynach społecznych. Np. rolnicy z kolonii Putnowice poza wpłaty w pieniężnymi dał każdy pracę wartości 3500 zł przy budowie drogi. Czyny społeczne to obfite źródło aktywności.

Zanim wybrano mnie przewodniczącym, byłem kierownikiem szkoły. Wahalem się, czy objąć to stanowisko, bo autorytet gromadzkiej rady w ogóle nie był wysoki. Czasem dlatego, że kandydata przywożono w łecze, czasem dlatego, że wybierano pierwszego lepszego, bo innego nie było. To już się w dużym stopniu zmieniło, ale musi zmienić się do końca.

Wiesław Moskaluk

— Zwłaszcza od VI Zjazdu Partii w środowisku działaczy i pracowników rad narodowych rozwija się dyskusja na temat sprawności działania samych rad i jej organów wykonawczych. My w powiatach, także po rozmowach ze społeczeństwem,

LUBELSZCZYŻNA była i jest województwem rolniczym, aczkolwiek z samą produkcją rolniczą nie jest u nas najlepiej. Rzeczywiście wielkie zakłady przemysłowe, o kilkutygodniowym zatrudnieniu, można policzyć na palcach. Poważne inwestycje przemysłowe dość rzadko trafiają do Lubelskiego, a biorąc pod uwagę rejonizację gospodarczą — trudno spodziewać się uruchomienia w przyszłości większych fabryk przemysłu metalowego, elektrotechnicznego czy włókienniczego, a więc tych gałęzi, które zapewniają wysokie zatrudnienie. Planowana eksploatacja zasobów węgla kamiennego, spoczywających na obszarze Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, ujawni swoje skutki społeczno-ekonomiczne dopiero za kilka dobrych lat.

dernizację. Aktualnie wartość ich produkcji przekracza 50 proc. wartości produkcji całego przemysłu Zamościa. Do roku 1975 Zakłady planują ponad dwukrotne zwiększenie produkcji na rynek krajowy, przede wszystkim dzięki stopniowej modernizacji i rekonstrukcji oddziałów i związanym z tymi zabiegami wprowadzeniem pracy dwuzmianowej.

Po raz pierwszy drugą zmianę uruchomiono 29 lipca ub. roku na oddziale uboju trzody. Środki inwestycyjne, przeznaczone na ten cel, okazały się stosunkowo niewielkie, zamykając się kwotą 143 tysięcy zł. Tanim kosztem poważnie ograniczono niekorzystny transport bydła i trzody do innych zakładów krajowych, konieczny dotąd ze względu na określoną moc przerobową Zamościa; o 600 sztuk zwiększono dzienny ubój (1330 ton), a tylko w czwartym kwartale ub. roku wartość produkcji globalnej wzrosła o 48 mln zł. Ponadto podniosła się wydajność pracy oraz wskaźnik produktywności. Bez wprowadzenia drugiej zmiany nie byłoby zapewne możliwe podjęcie zobowiązań w ramach akcji „Szukamy 20 miliardów”, których

w tym roku zablokowano możliwość dokonywania korekty tego funduszu, poza tym istnieje zakaz wyższego zatrudnienia pracowników umysłowych (WZPPPT). Z tą ostatnią kwestią wiąże się bezpośrednio sprawa nadzoru technicznego na II zmianie, który w praktyce jest mniej liczny, a więc mniej skuteczny, niż na I zmianie. Daje się zresztą zauważyć niechęć kadry administracyjno-technicznej do właściwego zorganizowania tego nadzoru, która między innymi bierze się z pewnego lekceważenia II zmiany, jej efektywności produkcyjnej. O wydajności tej zmiany krąży zresztą różne opinie: w „Grajcu” nie mają do niej żadnych zastrzeżeń, w Spółdzielni Galanterii Skórzanej, zatrudniającej w większości także kobiety, obwiniają zmianę o 20-procentową niższą wydajność.

Zmiana na lepsze

Marian Maternicki



Fot. B. Duda

Rozdrobnione gospodarstwa chłopskie i przeludnienie wsi z jednej strony, stosunkowo skromny przyrost nowych miejsc pracy w przemyśle i usługach z drugiej — oto zasadnicze ramy problemu o nazwie „nadwyżka siły roboczej”, dość ostro, choć w różnym stopniu występującego w województwie.

realizacja przyniesie m.in. dodatkowe 500 ton szynek. Wartość tych zobowiązań Zakładów Mięsnych zbliża się do sumy 33 mln zł. Tyle w planizacji ekonomicznej.

W społecznej masie — dzięki zatrudnieniu 119 nowych osób, w tym 38 kobiet — Zakłady Mięsne o ponad 11 proc. obniżyły liczbę ludzi poszukujących pracy w Zamościu. Mało to, czy dużo?

Wprowadzenie wielozmianowości umożliwi niejednokrotnie fatalny stan zaplecza transportowego zakładów terenowych. WZPT Materiałów Budowlanych posiada zaledwie cztery samochody do przewozu pracowników — na obszarze całego województwa, a tymczasem robotnicy betoniarń dojeżdżają do Lublina z odległości 20—30 km.

Mieszkańcy wsi poszukują pracy w miastach, a równocześnie rozbudowane szkolnictwo zawodowe różnych typów i poziomów rokrocznie przekazuje na rynek pracy tysiące wykwalifikowanych robotników, techników, inżynierów, absolwentów szkół wyższych i liceów ogólnokształcących. Ograniczone możliwości zatrudnienia zmuszają pokątną, bo ponad pięciotysięczną grupę młodych ludzi do szukania pracy w innych województwach, co jest jednym z ważniejszych czynników starzenia się ludności Lubelszczyzny.

Pod względem uprzemysłowienia powiat zamojski zajmuje jedną z najniższych pozycji w województwie, a przemysł samego Zamościa zatrudnia ok. 18 proc. ogółu mieszkańców, czyli niewiele, jak na ośrodek o funkcjach ponadregionalnych. Jak dotąd rolnictwo Zamojszczyzny nie stwarza alternatywy rozwojowej, społeczno-ekonomicznej, na tych terenach. Dość powiedzieć, że 21 proc. gospodarstw nie przekracza 2 ha powierzchni, a 56 proc. mieści się w granicach od 2 do 5 ha. Ze 100 ha użytków rolnych utrzymują się 84 osoby, podczas gdy średnio w województwie — 71, a w kraju — 36 osób. Zrozumiałe, że ludność wiejska szuka pracy w mieście.

Szereg zakładów wskazuje na konieczność zdobycia środków inwestycyjnych na rozbudowę i modernizację potniszczących produkcję oraz zakup maszyn i urządzeń... Za szczupłe są pomieszczenia socjalne w rodzaju szatni...

Ten znaczny odpływ nie likwiduje jednak problemu zatrudnienia, obecnie kilka tysięcy osób poszukuje pracy, a jeśli w najbliższych latach nie znajdziemy jakiegoś skutecznego lekarstwa, pod koniec bieżącej pięcioletki nadwyżka siły roboczej osiągnie liczbę 27 tys. osób, w tym 18 tys. kobiet.

Dokładnie rok temu zarejestrowano w Zamościu 1029 osób poszukujących pracy, w tym 740 kobiet, tymczasem zaledwie 143 mężczyzn i 4 kobiety mogły liczyć na zatrudnienie. Obecnie nadwyżka siły roboczej znów utrzymuje się na poziomie tysiąca osób.

Kolejnym hamulec jest niewystarczające zapotrzebowanie na surowce. „Lubet” nie może wykorzystać istniejących mocy produkcyjnych, ponieważ brakuje mu wody, żwiru i piasku. WZSP sygnalizuje brak skayu, „choć w ogóle nie jest gorzej, niż było”, a trudności z otrzymaniem zawiasów, śrub, okleiny przez zakłady meblarskie — to doprawdy sprawy banalne. Natomiast beczki z Międzyrzecza, produkowane tylko w systemie jednozmianowym dla potrzeb przemysłu rybnego, od pewnego czasu nie mają zbytu i piętrzą się na placu. Międzyrzecze przestało też otrzymywać zlecenia na renowację opakowań drewnianych, „bo dużo drewna na rynku, tarcicę można dostać poza przydziałem”.

Co zrobić, w jaki sposób chociażby złagodzić trudną sytuację na rynku pracy? Odpowiedź jest jedna i dobrze znana przynajmniej od roku: przez wprowadzenie pracy wielozmianowej. Jest to najtańszy i najszybszy środek prowadzący do wzrostu zatrudnienia, automatycznie podnoszący produkcję, a więc pod każdym względem korzystny. Jak każda rzecz ekonomiczna, nie ma on nic wspólnego z baśniowym stoliczkiem, który sam się nakrywał za sprawą woluntarystycznej decyzji, zdeterminowany jest natomiast, i to mocno, konkretnymi warunkami technicznymi, surowcowymi, komunikacyjnymi, rozwojem zaplecza usługowego, a nawet nastawieniem psychicznym danego środowiska.

Rzeczywistość zamojska sama tłumaczy wagę owych 119 stanowisk pracy, przygotowanych przez Zakłady Mięsne, których posunięcie wyznacza zarazem kierunek szerszego działania, zmierzającego choćby do złagodzenia trudnej sytuacji na rynku pracy. Uruchomienie pracy wielozmianowej w zamojskich zakładach przemysłu rolno-spożywczego i w przedsiębiorstwach spółdzielczych jest w tej chwili chyba jedynym realnym wyjściem z tej sytuacji. Mimo kilkuletnich starań Zamość z reguły pomijany był w momencie podejmowania ostatecznych decyzji lokujących nowe inwestycje przemysłowe, choć jego kandydaturę rozpatrywano już w przypadku 14 planowanych zakładów. Zawsze jednak kończyło się na obietnicach i rozczarowaniu. Ostatnio, w 1970 roku, zaniechano budowy zakładu materiałów elektroizolacyjnych o zatrudnieniu 4 tys. osób. Na prace przygotowujące przyjęcie tego obiektu miasto zdążyło przecież wydać ponad 20 mln zł.

Na koniec wskazuje się na niedostosowanie godzin pracy placówek usługowych (m.in. sklepów) oraz komunikacji do nowego rytmu życia, który niewątpliwie zostanie przyniesiony przez system wielozmianowy.

Na Lubelszczyźnie rzadko daje się słyszeć popularne gdzieś indziej hasło „Witaj drugą zmianą”, tutejszy wskaźnik zmianowości kształtuje się poniżej krajowego, co po części tłumaczy się skromną liczbą wspomnianych wielkich zakładów przemysłowych, których cykl produkcyjny jeśli nie narzuca, to przynajmniej umożliwia wprowadzenie pracy wielozmianowej. Poza tym nie ma u nas tradycji tego rodzaju pracy — nawet w przemyśle maszynowym, chwalącym się kalkiem przyzwolonej organizacji produkcji, druga zmiana nie jest powszechnie obowiązującą regułą. Całkiem źle przedstawia się sytuacja w przemyśle rolno-spożywczym, materiałach budowlanych oraz w zakładach spółdzielczych pracy. Wojewódzki wskaźnik zmianowości dla robotników grupy przemysłowej zatrzymał się w ub. roku na 1,46 (w 1970 — 1,43), natomiast odpowiednie dane dla zakładów Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego wynoszą 1,32 i 1,30. Pracę dwuzmianową w placówkach Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Pracy ilustrują takie wskaźniki: 1,23 w 1970 r. oraz 1,24 w roku ubiegłym.

Trudno się jednak ludzi, że wprowadzenie pracy wielozmianowej w istniejących zakładach całkowicie uzdrowi zamojski rynek pracy. Mówiąc najogólniej: lokalizacja dużego zakładu przemysłowego w tym mieście pozostaje nadal sprawą otwartą.

Szerokie uruchomienie drugiej zmiany w zakładach przemysłu rolno-spożywczego, materiałów budowlanych, w ogóle w przemyśle terenowym i w przedsiębiorstwach spółdzielczych na Lubelszczyźnie — wymaga rozwiązania niejednego zagadnienia, przewyższenia niejednej trudności. Prawdę mówiąc rzecz całą znajduje się jeszcze w stadium dyskusji i przysmaków, aczkolwiek te ostatnie przybrały w pewnych wypadkach postać konkretnych planów. Przykładowo „Grajca”, przedsiębiorstwo krawiecko-kusnierskie o zasięgu wojewódzkim, przeznaczona 5700 000 zł na zakup maszyn i modernizację dotychczasowych pomieszczeń produkcyjnych, przede wszystkim dla potrzeb drugiej zmiany — wymaga wojewódzki Zarząd Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych (m. in. egoty) do roku 1975 zamówienie i modernizację zmianowości do 1,8, uzależniając to od budowy zakładów nowoczesnych i modernizacji istniejących. Osiągnięcie bardzo wysokiego wskaźnika, i to już w tym roku, zdobyły Zakłady Produkcji Elementów Budowlanych w Lubartowie (2,14); tłumaczy się on na 104 nowe stanowiska pracy i dodatkową produkcję wartości 10 000 000 zł. Wprowadzenie pełnej pracy dwuzmianowej w zakładach Wojewódzkiego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego pozwoliłoby na uzyskanie 5000 dodatkowych miejsc pracy, gwarantując zarazem 100-procentowe wykorzystanie środków produkcji, zaś utrzymanie na wysokości 60 proc.

Jeśli „pozwolimy”, to na co czeka WZPPPT? Odpowiedź mieści się w rejestrze trudności, opóźniających organizację pracy dwuzmianowej.

Niemalże kłopoty sprawia uzyskanie przez zakłady dodatkowego funduszu płac;

Problemów, jak widać, sporo, lecz nie wydaje się, aby ich rozwiązanie przekraczało możliwości zarówno zainteresowanych zakładów, jak i lokalnych władz, odpowiedzialnych w pierwszym rzędzie za sytuację na rynku pracy. Istota powódzenia tkwi w dokładnym rozpoznaniu możliwości uruchomienia lub rozwinięcia pracy dwuzmianowej, w koordynacji działania wszystkich stron oraz w pieczołowitym przygotowaniu organizacyjnym całego przedsięwzięcia. Z góry za bezsensowne należałoby uznać wszelkie próby wprowadzenia dwuzmianowości (trzyzmianowości) wszędzie tam, gdzie nie ma po temu odpowiednich warunków społecznych, a efektywność ekonomiczna wydaje się być wątpliwa. Zastrzeżenie to tylko na pozór wydaje się groteskowe w swojej oczywistości.

Ludzie czekają na pracę, rynek czeka na towary, a podstawowym i realnym warunkiem spełnienia tych oczekiwań jest właśnie wprowadzenie pracy dwu- a nawet trzymianowej. Wymaga to pewnych nakładów inwestycyjnych, lecz — jak wykazuje praktyka Zakładów Mięsnych w Zamościu — są one niewspółmiernie niskie w stosunku do osiągniętych korzyści społecznych i ekonomicznych.

Zakłady te wzniesiono w latach 1951—1961 kosztem ok. 140 mln zł, w następnych latach nieustannie dbając o ich mo-

Spółdzielnia „Metalowiec” w Tarnogrodzie w pow. bilgorajskim zatrudnia ogółem 121 osób, z czego 30 na II zmianie, 13 na trzeciej. W ubiegłym roku, po zatrudnieniu dodatkowych 27 pracowników, spółdzielnia zwiększyła produkcję o 40 procent. Jako warunek rozbudowy systemu wielozmianowego stawia się pozyskanie dwóch techników z odpowiednim doświadczeniem oraz zakończenie modernizacji obiektów. Techników tych „Metalowiec” ani rusz nie może zwać do Tarnogrodu, a tymczasem władze powiatowe dobijają się w województwie o lokalizację nowego zakładu przemysłowego, jako że nadwyżka siły roboczej waha się w granicach 3—4 tysięcy osób. Na dodatek Zakłady Przemysłu Zdrzewiarstwa „Mewa” w Bilgoraju, zatrudniające ponad tysiąc pracowników, w większości kobiety, obniżyły w latach 1970—1971 wskaźnik zmianowości (podobnie jak kilka innych przedsiębiorstw terenowych województwa). Być może wielkoprzemysłowe żądania Bilgoraja są w pełni uzasadnione, lecz tym bardziej wymagają przekonująco go podania.

Wprowadzenie pracy wielozmianowej w przemyśle terenowym i w zakładach spółdzielczych może przynieść poważne korzyści. Czy nie warto się jednak zastanowić, jakie zmiany poczyni ten system w obyczajowości? A jakie w kulturze — traktując rzecz szerszej?

Być kimś służąc innym

E ALE moje życie — jeden rozdział. Tak Paweł Dąbek opowiada sobie, krótko i raczej niechętnie. Jest coś, co nazywa się skromnością, dlatego trudno mi mówić. W każdym razie był czas, kiedy człowiek sam sobie musiał nakazywać pewne rzeczy, niełatwe wtedy, potem dopiero zaczęła się dyscyplina organizacyjna...

Chęć jednoznacznego wyboru własnych losów. Szuka i odważa podjęcia własnych najlepszych powołań. Od początku tak.

Człowiek ten spalany jest wielką potrzebą. Spalany wewnętrzną koniecznością bycia KIMS poprzez skuteczne służenie innym. Rys tej osobowości chyba bardzo ważny, zwiastujący dokonania i wysiłki szlachetne. Przygoda ludzka doniosła i krzepiąca, aczkolwiek wcale nie bezkonfliktowa.

Cale jego życie — jeden rozdział. Lecz rozdział otwarty, w którym przełamuje się najnowszą historią Lubelszczyzny i jakiś kawałek historii kraju. I już to wyznacza napięcia biografii Pawła Dąbka.

GL-owska przeszłość? O mnie nie mówmy, dawny czas. Ale żyją jeszcze ludzie, z którymi trzeba rozmawiać, są sprawy, do których trzeba się dokopać. Ważne sprawy i złożone. Nie ma dla nich pełnej dokumentacji, często nie ma żadnej. Bo do 44 roku w PPR, GL i AL obowiązywały rozkazy: nie nie pisać, nie nie notuj. Później spisywano uprzednie relacje, lecz nie był to najszczęśliwiej dobrany okres dla takiego przedsięwzięcia. Fakt, że przeszłość dobrze można ocenić z dłuższej perspektywy czasowej, dobrze, to znaczy prawidłowo i w oparciu o dokumenty. Skoro jednak niedostatek dokumentów, a zostali tylko ludzie... Trzeba się spieszyć...

I tak właściwie jest ciągle: spytany o siebie mówi o innych. A dziennikarza rozpacz ogarnia, jeśli chce zbudować sylwetkę nieco bardziej krwistą niż w standardowej notat-

To co łączy

WYSUNIĘCIE mojej kandydatury na posła przez Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu w Lublinie stanowi dobrą okazję — stwierdza w rozmowie z przedstawicielem redakcji „Kamery” mgr Stanisław Jan Rostworowski — do chociażby ogólnego przedstawienia przestanków zaangażowania ideowego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego — członka FJN.

Stowarzyszenie to powstało w okresie ważnych wydarzeń w powojennej państwowości polskiej na przełomie lat 1956—1957. Nie precyzowaliśmy programu na piśmie. Naszą formacją religijną określają wskazania ewangeliczne. Służba ojczyźnie wymagała realistycznych decyzji i ofiarnych czynów. Z czasem jednak wzrastająca złożoność otaczającej rzeczywistości pociągła za sobą konieczność bardziej pogłębionych refleksji.

Dlaczego określiliśmy się jako stowarzyszenie chrześcijańskie? Uważamy się za wspólnotę ludzi wierzących, postępujących zgodnie ze wskazaniami religii i etyki. W naszych szeregach łączymy członków działających w Polsce Kościołów chrześcijańskich, w szczególności katolików, ale również prawosławnych i protestantów. Będąc organizacją o charakterze świeckim, wpywamy się zarówno przeciw klerykalizmowi, szukającemu przywilejów w społecznych strukturach doczesnych dla reprezentantów Kościoła, jak i wykorzystywaniu aury moralnego i uczuć religijnych w sferze politycznej i społecznego działania.

Chcę powiedzieć jasno: Jesteśmy przeciwni wszelkim tendencjom chrześcijaństwa czy katolicyzmu politycznego. Przekonania religijne nie warunkują postaw politycznych. Stworzenie jakiegokolwiek obozu politycznego na gruncie kościelnym jest zawsze

biograficznej. Gdyby Pawłowi Dąbkowi odebrano możliwość mówienia o innych, a przede wszystkim możliwości poważnego działania dla innych, to odebrano by mu coś, na czym opierał swoje życie i z czym związał swoją ambicję polityka, działacza społecznego, człowieka.

Ta postawa, w pewnym momencie twarde określenie czynnym i świadomym wyborem ideologicznym, trądził jednak racjonalna potrzeba budowy demokratycznego porozumienia wśród ludzi o rozmaitych poglądach. Tak jest dzisiaj, kiedy Paweł Dąbek przewodniczy Wojewódzkiemu Komitetowi Frontu Jedności Narodu. Tak było ongiś, kiedy prowadził rozmowy z AK i BCH w sprawie rozbięcia obozu majdankowskiego, kiedy dla pogłębienia kontaktów walczył w oddziale 14 porucznika „Buńczuka” i kiedy wreszcie 14 lipca 1944 roku z upoważnienia Dowództwa Okręgu AL wysłał list „Do Dowództwa Okręgu Batalionów Chłopskich”.

Jeżeli Okręg BCH jak i obecne władze wojewódzkie Stronnictwa Ludowego będą przekonane, że w ramach Woj. Lub. Rady Narodowej będą mogły, a według naszego zdania z całą pewnością, realizować dziś i jutro naczelne idee ruchu ludowego w dążeniu do demokratycznej Polski Ludowej na podstawie antyfaszystowskiego frontu i narodowego frontu walki z niemieckim barbarzyńcą, jestem upoważniony zakomunikować, że zarówno dotychczasowi członkowie Wojewódzkiej Rady Narodowej ze Stronnictwa Ludowego, jak też i innych demokratycznych organizacji wojskowych i społeczno-politycznych, szczerze i serdecznie powitają nowych przedstawicieli Str. Lud. i BCH, którzy weszli do Rady.

Spieszę zakomunikować, że pierwsze oddziały partyzanckie z Armii Polskiej gen. Berlinga przybyły na teren Lubelszczyzny. Z radością oddziały te witane są przez placówki AL i BCH; dobrze byłoby, gdyby przedstawiciele Okręgu BCH mogli zapoznać się z dyscypliną, stanem bojowym i moralnym, ze stosunkiem żołnierzy polskich Berlinga do spraw Polski. Żołnierze ci wybrali najkrótszą i najrealniejszą drogę do Wolnej Demokratycznej Polski.

Pismo powyższe nie wyczerpuje całokształtu spraw, które mogą być omawiane przez wyznaczonych przedstawicieli AL i BCH, ani też nie przesądza, że kwestia porozumienia ma być tak a nie inaczej zatwierdzona.

W pierwszym spotkaniu chodziliby przede wszystkim o wymianę poglądów.

Inspirowanie rozsądnego dialogu między ludźmi, konieczność wspólnych poczynań Polaków — oto i stała pasja Pawła Dąbka. Nie jedyna przecie. Były bowiem także pasje eksperymenty, inicjowane nieraz i realizowane wbrew doraźnym koniunkturalom, przeciw stereotypom życia społecznego. Odwaga decyzji, które podejmował. Często ich trafność, weryfikowana wcześniej lub później. Margines osobistego ryzyka i społecznych kosztów. Inaczej być nie może, jeśli się autentycznie chce coś zrobić dla drugich.

W 46 roku, będąc sekretarzem KW PPR, miałem — niestety, trochę pod uciąż — o potrzebie spójności mieszkaniowej, przypominając zresztą rozmaite polityczne tradycje, nawet z lubelskiego podwórka. Zrobiło mi wtedy przesyłem powołanej już wówczas Lubelskiej Spółdzielni Mieszkanio-

wej. Ale szybko przekreślono LSM, jak i całą ideę tego typu spółdzielczości w Polsce. Dopiero po 36 roku odkryliśmy ją na nowo. Nie zawsze jednak przechodziło to tak długo. Z okresu, kiedy byłem przewodniczącym Prezydium WRN, pamiętam na przykład sprawę eksperymentu podatkowego w powiecie chełmskim, ładnie parę lat temu. Sisto o decentralizację wymiaru i poboru podatku do szczebla GRN. Dla ludzi ułatwienia znaczne, choć było to przewrócenie obowiązujących wówczas przepisów. Pomyśl jednak zaczął się przyjmować w całym kraju, a prezes Rady Ministrów wydał zarządzenie, które sankcjonowało nowy stan rzeczy. Podobnie, choć nie całkiem tak samo, z bezpłatnym leczeniem sztywność i ich rodzin. Urzędnicy z odpowiedniego resortu zabronili, kiedy chciałem to wprowadzić. Za parę tygodni prezes Rady Ministrów uregulował i tę sprawę. Dziś uregulowano także kwestię leczenia chłopców w ogóle, i tak powinno być, lecz myślimy tu w Lubelskiem próbowali tego już dawniej. We wsi Żyrzyn. Trwało pół roku i resort zabronił. Też dane czasu.

Z końcem 1969 roku Paweł Dąbek zostaje dyrektorem Wydawnictwa Lubelskiego. Wokół oficyn regionalnych poczynają się toczyć rozmaite, niezbyt krzepkie dyskusje. Przebiega się o „likwidacji słabnących” wydawnictw. W porównaniu z rokiem 1968 nasza oficyna osiąga w 1971 wzrost o 38 tytułów do 50, z 501 arkuszy drukarskich do 696, z 352 tys. egzemplarzy ogólnego nakładu do 723 tys., z 5,4 mln zł wartości produkcji do 13,9 mln zł. Za sprawą dyrektora Wydawnictwa Lubelskiego rodzi się ostatnio inicjatywa poszerzenia tej instytucji o redakcję naukową. Znowu pomyśl nieszlachetny i raczej w ogóle bez precedensu. Argumenty? Chodzi o to, by wydawnictwo poszerzyć i podnieść jego rangę, tak samo jak i rangę tutejszego środowiska naukowego na ogólnopolskim forum. Koszta nie takie znowu wielkie, administrację już mamy, potrzeba tylko paru etatów merytorycznych. Nie wolno tu robić partykularza. Piszcie to Lublinie nawet o tym, co dzieje się na księżycu, piszcie dobrze, wydajmy. Należy puszcząć w świat miejscowy dorobek, zresztą nie tylko naukowy. To jest chyba ewenement, że wydaliśmy pisma zbiorowe za życia autora. Myślę o Kazimierzu Andrzejewskim, pisarzu przecie nie partykularnym, choć z Lubelszczyzną stale związanym. Fakt, iż wydajemy dzieła Zaremby, może rozpocząć nowy rozdział w lubelskim edytorstwie, powstał bowiem pewien precedens.

Powiedzieć, że Paweł Dąbek jest gorliwym miłośnikiem i orędownikiem swego regionu, to powiedzieć banał. Nie od rzeczy byłoby jednak spytać o formułę tego regionalizmu. Nigdy nie chciałem opuszczać Lubelszczyzny na długo. Pytałem mnie koleżdy z dawnych lat — ty ciągle w Lublinie. Ano ciągle — odpowiadałem. Niewiele mam w życiu czasu wolnego, lecz niekiedy udaje mi się spacerować prywatnie po naszym mieście, ludzie mnie obstępają, chcą rozmawiać, i to cieszy. Pamiętam również wycieczki z Konradem Bielskim do Przezelej Woli, po prostu jedliśmy słuchać koncertu przeszło. To sentymenty, na które człowiek rzadko może sobie pozwolić. Regionalizm natomiast jako pełnej postawy działacza nie starałem się nigdy zacieśniać. Chodziło mi raczej o wydobyte

i utalenie na Lubelszczyźnie wszytkiego, co mogłoby mieć znaczenie ogólnonarodowe, zarówno w przeszłości jak i teraz.

I od tych spraw blisko już do poselskiej działalności Pawła Dąbka. Najważniejsze w tej chwili są perspektywy naszego parlamentu, realnie i — trzeba powiedzieć — bardzo obiecujące. Czy zdarzyło się w przeszłości, żeby komisja sejmowa postawiła wniosek o zdjęcie ministra? Nie. A przecież krytyka konkretnych osób na stanowiskach nie oznacza krytyki socjalizmu czy marksizmu. Dzisiaj różnie kontrolna funkcja sejmowa, różnie też i zmienia się ranga posła. Wielu rzeczy trzeba dokonać w naszym regionie i dla naszego regionu, nikt za nas tego nie zrobi. Lecz równocześnie dobry poseł musi patrzeć, co dzieje się w całym kraju, i z tej perspektywy rozstrzygać sprawy swego terenu. Poseł musi wyjaśniać swoim wyborcom i reprezentować politykę społeczno-gospodarczą państwa. I to jest bardzo ważne, to pewne nowum na tle tradycji ostatnich lat polskiego życia parlamentarnego.

Rozmaite bywają oceny człowieka, szczególnie działacza społecznego i polityka. Nie wszystkie sprawy można optymalnie rozwiązać, nie wszystkie sprawy są łatwe. Oczywiście. W każdym razie mówi się o Pawle Dąbku, że nigdy nie uciekał od ludzi, nawet jeśli przychodzili ze sprawami intymnymi czy krańcowo subiektywnymi. Potrafił w prezydium przyjąć kilkadziesiąt osób dziennie. Od ludzi się można wiele nauczyć — powiada Paweł Dąbek. I dla ludzi można wiele zrobić — dodajmy.

MP



Fot. CAF

Paweł Dąbek urodził się 24.IX.1908 roku w Piotrkowie (pow. lubelski) w rodzinie chłopskiej. W okresie międzywojennym ukończył studia prawnicze w Lublinie. Działal w Wzłądzu Młodzieży Demokratycznej, Towarzystwie Uniwersyteckim Robotniczym, Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a w roku 1931 nawiązał kontakty z Komunistyczną Partią Polski. Brał udział w kampanii wrześniowej w stopniu oficera, walcząc m. in. w rejonie Kocka jako członek zgrupowania gen. Kleeberga. Podczas okupacji pierwotnie nawiązał kontakty ze Służbą Zwycięstwa Polski (późniejszy Związek Walki Zbrojnej) w Lublinie, z ramienia której organizował ruch oporu w powiecie włodawskim. Był jednym z organizatorów Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej na terenie Lublina. W roku 1942 organizacja ta w całości weszła w szereg PPR i GL. Wówczas to Paweł Dąbek został mianowany pierwszym dowódcą lubelskiego okręgu GL, które to funkcje sprawował do połowy stycznia 1943 roku. Na tym stanowisku organizował sztab okręgowy i dowództwo GL dla miasta Lublina. Inspirował powstanie oddziału partyzanckiego GL im. Tadeusza Kościuszki w powiecie krańskim oraz oddziału im. Emilii Piały w powiecie lubartowskim. Aresztowany przez gestapo w połowie stycznia 1943 roku został osadzony w więzieniu na Zamku, a następnie w obozie na Majdanku. W maju 1943 roku zorganizował w obozie Związek „Orzeł”, mający na celu wywobodzenie więźniów poprzez rozbiór obozu. Ta próba jednolitofrontowego działania nie po-

wiodła się. Mimo to Dąbek zorganizował trzy słynne ucieczki poszczególnych grup więźniów z Majdanka. W pierwszej (14.III.1944 r.) sam wyszedł na wolność i powrócił do pracy partyjnej oraz walki z wrogiem. Dzięki Pawłowi Dąbkowi w powiecie lubelskim rozwijała się AL pod dowództwem Jana Skrzypka („Kotwicy”). Dąbek czynił próby nawiązania współpracy z innymi organizacjami, szczególnie z BCH. Inspirował powstanie pierwszych rad narodowych na terenie Lubelszczyzny. Po wyzwoleniu pułkownik Paweł Dąbek był jednym z głównych organizatorów władzy ludowej w Lublinie. Kolejno sprawował funkcje: sekretarza KW PPR, wojewody lubelskiego, przewodniczącego Prezydium WRN, posła do KRN, Sejmu Ustawodawczego i Sejmu PRL, w okresie 1956-1963 był mowu przewodniczącym Prezydium WRN. Spośród wielu funkcji, które społecznie piastował lub piastuje do dziś, trzeba wymienić jego działalność jako: prezesa Zarządu Okręgu i członka Zarządu Głównego ZBoWiD, prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół UMCS, AM, WSR, prezesa Zarządu Wojewódzkiego oraz członka Zarządu Głównego TPPR, przewodniczącego Społecznego Komitetu Budowy Szkoły i Internatów, przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

Obecnie w zbliżających się wyborach posłów do Sejmu kandyduje w okręgu Zamość nr 41.

formą nadużywania uczuć religijnych dla celów doczesnych. Z nadprzyrodzonym powołaniem Kościoła sprzeczne są wszelkie tendencje do tworzenia partii politycznych na gruncie wyznaniowym.

I Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przeciwstawia się podziałowi społeczeństwa według stosunku do religii. W budowie socjalizmu w Polsce uczestniczą zarówno wierzący jak i niewierzący.

A encyklika „Pacem in terris” głosi o obowiązku aktywnego udziału w życiu publicznym i przyczynianiu się do realizacji wspólnego dobra ludzkiej rodziny i własnej wspólnoty politycznej.

Naszym domem jest socjalistyczna ojczyzna polska. Kontury ustrojowe zakresili ludzie o orientacji marksistowskiej. Sprawy ustrojowe, zagadnienia ekonomiczne, kultury, oświaty — a osiągnięcia mamy niepodważalne — są i muszą być wspólną domeną praktycznego działania wierzących i niewierzących. Wprawdzie różnie światopoglądowe zatrzeć się nie da, ale nie powinny one stanowić i w praktyce nie stanowią przeszkody do harmonijnej współpracy w dziele zaszczytnej służby dla kraju, dla narodu. Istotą jest szukanie tego, co wspólne, tego, co łączy. Przyszłość Polski leży na sercu wszystkim patriotom. I to jest najważniejsze. A przyszłość Polski widzimy w socjalizmie, ustroju, który najlepiej zabezpiecza nasze granice, pozwala nam spokojnie żyć i pracować, stwarzając każdemu obywatelowi perspektywę kształcenia się i współzadania. Chcemy więc w pełni uczestniczyć w życiu tej ojczyzny. Dziś, kiedy nastąpiły tak ważne przemiany w Kościele Powszechnym, nam — ludziom wierzącym — jest znacznie łatwiej, w zgodności ze stanowiskiem zwierzchników Kościołów, być czynnymi na rzecz ustroju socjalistycznego. Hierarchia Kościoła Powszechnego, a myślę tu o Watykanie, głosi zupełnie wyraźnie, że Kościół powinien zajmować stanowisko ponadustrojowe, że w każdym ustroju można służyć wspólnemu dobru, że należy rozwijać współpracę z ludźmi niewierzącymi wówczas, gdy zmierza ona do celów z listy swych dobrych. Nasza postawa jest obecnie znacznie łatwiejsza. Nasz radykalizm społeczny wewnątrz środowisk chrześcijańskich nie jest uważany za coś nadzwyczajnego. Życie publiczne stwarza ciągle nowe problemy — polityczne, gospodarcze, kulturalne. Niemniej u ludzi wierzących pogłębiła się świadomość trwałości przemian socjalistycznych, które dokonały się i będą się dokonywać w naszym narodzie. Ci, którzy myśleli i działali w kierunku rozmiękczenia ustroju socjalistycznego, nie znaleźli uznania i poparcia dla szerzonych przez siebie tez. Dowiedzenia historyczne, zwłaszcza osamotnienie Polski we wrześniu 1939 r. były dostateczną lekcją politycznego realizmu. Za tę lekcję tak gorzko zapłacił nasz naród w czasie hitlerowskiej okupacji.

Konstytucja PRL sprawdza przekonania religijne czy niereligijne do sfery indywidual-

ny wyboru obywateli. Z drugiej strony jedynym kryterium oceny obywatela powinien być jego stosunek do Państwa Ludowego i sprawy budownictwa socjalistycznego. Odrzućmy tezę, że w Polsce Ludowej zdobycze demokracji mogą służyć wszystkim bez uwzględnienia klasowego kryterium oceny postępowania obywateli.

Jak już powiedziałem, przyszłość Polski to socjalizm. Dostrzegamy i doceniamy osiągnięcia Polski na polu gospodarki, oświaty, kultury, polityki społecznej. A w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej widzimy kierowniczą siłę przemian narodu. Kierownictwo partii klasy robotniczej gwarantuje także naszemu narodowi podstawowe dla nas — z punktu widzenia polskiej racji stanu — sojusze polityczne z innymi krajami socjalistycznymi.

Rozwój demokracji socjalistycznej powinien, naszym zdaniem, iść w kierunku poszerzenia pola działania organizacji i stowarzyszeń społecznych, aktywizujących inicjatywę obywatelską i służących dobru wspólnemu. Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne jest członkiem Frontu Jedności Narodu — forum spotkań i współpracy wszystkich sił patriotycznych w naszym kraju, stojących na gruncie socjalistycznej przebudowy kraju. Uczestniczymy w pracach Sejmu i rad narodowych, w radach narodowych na Lubelszczyźnie również mamy swoich przedstawicieli. Jest to wyraz naszej współodpowiedzialności za sprawę państwa, za sprawę województwa.

Uważamy — i to chciałbym też podkreślić — że już najwyższy czas, aby na Ziemiach Zachodnich i Północnych została wprowadzona stała administracja kościelna. Ziemia nie stanowi integralną część państwa polskiego. W pełni solidaryzujemy się z nowymi prądami, jakie wniósł Sobór Watykański II w życie Kościoła. Nurt otwartego dialogu z niewierzącymi może ułatwić prawdziwe porozumienie między Kościołem Rzymsko-Katolickim w Polsce a Państwem.

Mówię celowo o sprawach wielkich, a przecież warto przejść na własne, lubelskie podwórko, gdzie istnieje oddział Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, obejmujący swą działalnością poza stolicą województwa Białą Podlaską, Chełm, Kraśnik i Bilgoraj. W ubiegłym roku zorganizowaliśmy w Lublinie 18 zebrań ogólnych, dostępnych zarówno dla członków jak i sympatyków ChSS. Większość tych zebrań była poświęconą zagadnieniom politycznym, społecznym i gospodarczym. Zebrania te, organizowane po VII i VIII Plenum KC PZPR, stanowiły dobrą platformę do przedyskutowania różnych form zaangażowania ludzi wierzących w proces budownictwa socjalistycznego. Zastanawialiśmy się nad takimi problemami jak: zadania w dziele patriotycznego zespolenia społeczeństwa, funkcje prasy wobec władzy i społeczeństwa, stosunki Kościół-Państwo i problemy demokracji socjalistycz-

nej w świetle wytycznych przedzjazdowych. Z dużym zainteresowaniem spotkały się spotkania z gośćmi z NRF, wśród nich z pastorem Heinzem Behnkenem z Hanoweru, który mówił o recepcji układu Polska — NRF w społeczeństwie Niemiec zachodnich czy też pastorem Elmarem Pierothem: wygłosił on odczyt na temat współczesnych problemów społecznych NRF. Nie wspominał tu już o odczytach poświęconych problematyce sensu stricto religijnej.

Przy oddziale redakcji „Za i Przeciw” istnieje osobna sekcja młodzieżowa, grupująca przeważnie studentów KUL-u. I ona odbyła szereg zebrań poświęconych przeważnie omawianiu problemów warsztatowych zawodu dziennikarskiego.

Niezależnie od tego 20 spotkań dyskusyjnych zorganizowaliśmy w terenie. Dyskutowaliśmy o różnego rodzaju bolączkach. Wszystkie uwagi przekazaliśmy do WK FJN, a były wśród nich i cenne propozycje. Można tu jeszcze wspomnieć o pogłębieniu i poszerzeniu naszych kontaktów z duchowieństwem. Spotkania odbywały się często w kameralnym gronie, dyskutowaliśmy nad takimi problemami, jak aktualna polityka Państwa wobec Kościoła, stanowisko ChSS wobec aktualnych wydarzeń politycznych, działalność wydawnicza ChSS.

W ubiegłym roku nawiązaliśmy i kontakty zagraniczne. Ja stałem np. na czele 12-osobowej delegacji ChSS w NRF i we Francji. 33-osobowa grupa księży i działaczy ChSS uczestniczyła w uroczystościach beatyfikacyjnych O. Kolbego w Rzymie. Brałem też udział w Konferencji Berlińskiej Katolików Wschodu i Zachodu.

MJ



Fot. CAF

Stanisław Rostworowski, syn oficera WP, m. in. szefa sztabu III powstania śląskiego, później generała AK zamordowanego przez gestapo — urodził się 27.XI.1924 r. w Poznaniu. Tu także w 1931 r. zdał maturę. Przez dwa lata pracuje, w tym przez okres roku jako robotnik w Zasadowni Głównej PKP we Wrocławiu. Do Lublina przybył w 1933 r., i rozpoczyna studia na filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Magisterium ukończył w 1938 r. i przez rok jeszcze studiował filologię romańską.

W okresie studiów Rostworowski jest aktywnym działaczem młodzieżowym. W 1934 r. włączył się z ruchem politycznym katolików. Jest także członkiem Rady Uczelnianej ZSP, bierze udział w V Światowym Kongresie Młodzieży i Studentów w Warszawie (1935 r.), jest delegatem na VI Kongres w Wiedniu, w którym udział nie bierze z powodu choroby. W 1937 r. jest współredaktorem pisma „Student”, wydawanego w Lublinie przez ZSP Akademii Medycznej. W 1937 r. podejmuje pracę w Bibliotece im. H. Łopacińskiego w Lublinie.

Wreszcie jeszcze nawiązuje kontakty z nowo powstałym w Warszawie środowiskiem redakcji tygodnika „Za i Przeciw”. W październiku 1937 r. jest współwódcą Chześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, w lutym 1938 r. organizuje w Lublinie jeden z dwóch pierwszych oddziałów tereno-

wych tego stowarzyszenia. Jest członkiem V kadencji Zarządu Głównego Chześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego w Warszawie (1939-40), obecnie od 1970 r. jest ponownie wybrany do Zarządu Głównego. W Zarządzie Oddziału Stowarzyszenia w Lublinie w pełni funkcję sekretarza, a obecnie wiceprzewodniczącego. Jest dziennikarzem, publicystą zajmującym się problematyką ideologiczną, światopoglądową i polityczną. Uczestniczy w wielu zjazdach międzynarodowych i delegacjach ChSS udających się na granice. Był w 11 krajach zachodniej i południowej Europy. Obecnie pełni funkcję redaktora naczelnego rocznika ChSS „Studia i dokumenty”, współredaktora miesięcznika „Novum”, kierownika wydawnictwa książkowego „Novum”.

Rostworowski jest także czynnym działaczem społecznym na terenie Lublina. W 1938 r. współorganizuje Polski Komitet Pomocy Społecznej, od tam jest nieprzerwanie sekretarzem i z czasem wiceprzewodniczącym Rady i Zarządu Miejskiego PKPS. Od 1961 r. jest członkiem Zarządu Wojewódzkiego PKPS i członkiem Plenum MK FJN w Lublinie, a od 1963 r. członkiem Prezydium WK FJN w Lublinie. Za swą działalność społeczną i polityczną otrzymał odznaczenia: Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, słoła odznaczeń ChSS i PKPS, Odznakę Tysiąclecia.

Obecnie w zbliżających się wyborach posłów do Sejmu kandyduje w okręgu Chełm nr 41.

Na wsi w połowie lutego

Romuald Wiśniewski



Fot. J. Mendychowski

CHODEL znany jest wyłącznie niemal dzięki osobie księdza Piotra Sciegiennego, który tu będąc proboszczem ogłosił swą słynną „Złotą księgię”. Już współcześnie inny tutejszy ksiądz też wywołał zainteresowanie swoją publikacją. Był nim wikary, Grzegorz Pawłowski, syn żydowskiej rodziny z Zamościa, który na łamach prasy opisał, jak uciekł z obozu w Izbiey, dzięki pomocy polskich chłopów, a potem polskich zakonnic, przeżył wojnę, ukończył szkołę średnią, a wreszcie przeszedł na katolicyzm i wstąpił do seminarium duchownego.

Po księdzu Sciegiennym pozostały ślady w postaci dokonanych jego ręką zapisów parafialnych w księgach chrztów, ślubów i zgonów. Imię autora „Złotej księgi” nosi chodeńskie liceum ogólnokształcące. Obecny pleban, ksiądz Kazimierz Krakowiak, przez miejscowych uważany za człowieka o poglądach raczej zachowawczych, mówi mi, że tylko miano szkoły to za mało dla uczczenia pamięci wielkiego kapłana i patrioty. Idealy, o które walczył, wieś osiągnęła już dawno, toteż pora najwyższa, aby tablica ku jego pamięci znalazła się na murach kościoła. Ksiądz wyciąga długą listę innych postaci zasłużonych dla Polski a związanych z Chodlem — jak na przykład Dionizy Trzciński, ostatni uczestnik Powstania Styczniowego, poległy w pobliskim Trzcinie 20 maja 1863 roku — które też powinny być odpowiednio uhonorowane. Co do księdza Pawłowskiego zaś, to wyjechał przed paru laty do rodziny w Izraelu, podobno pozostał nadal w stanie kapłańskim, ale od dawna nie przychodzi od niego nawet kartki.

Do Chodla przyjechałem jednak, by napisać coś o rolnikach, a nie dla księdza Sciegiennego czy współczesnych spraw parafii. Wizyta na plebanii była pretekstem. Wypiliśmy z kierowcą kawę w gospodzie „Przystań” i szukaliśmy potem ubikacji. Kawa była niezła, gospodę natomiast polecam filmowcom, jeśli będą chcieli kręcić polski western. Do przysposobowej „sławojki” nie udało nam się dotrzeć z uwagi na brak gumowych butów z cholewami, była bowiem odwilż i wokół białego budynku zbyt wiele znaków, że człowiek jak je, to i wydała. Zeszliśmy więc dookoła osady w poszukiwaniu innego przybytku. Daremnie. Wreszcie ktoś poradził nam udanie się na plebanie.

Akcja porządkowania małych osad i miasteczek, ongi z takim rozmachem prowadzona na Lubelszczyźnie, nie dotarła chyba do Chodla. Osada, stara przecież (na wieży kościelnej o kształcie baszty obronnej, data: 1541), sprawia wrażenie przykre. Wiele tu starych ruder, kłitek, przybudówek, a z solidniejszych domów opadają tynki. Tylko grupa nowych budynków wygląda okazale: ośrodek zdrowia, ośrodek weterynaryjny, liceum, baza gminnej spółdzielni, a także kilka świeżej daty domków jednorodzinnych. Budować się tu zresztą jest trudno, gdyż Chodel nie posiada perspektywicznego planu zagospodarowania przestrzennego, toteż urząd architektury powiatowego radzi zainteresowanym wstrzymanie się do czasu, gdy plan taki zostanie opracowany i oficjalnie zatwierdzony.

Kiepska prezentacja Chodla jest tym dziwniejsza, iż jest on stolicą dużej gromady o 13 wsiach i 11 sołectwach, zamieszkałej przez 3200 osób (z czego w samej osadzie — 1250). Od siedziby powiatu — Bełżyc — odległy jest o 14 km, od innego miasta powiatowego, Opola Lubelskiego — o 12 km. Do dużego ośrodka przemysłowego, Poniatoławej, jest stąd około 20 km (a krótszą, polną drogą, tylko 7 km). Ludzie z Chodla dojeżdżają też do pracy w Kraśniku Fabrycznym (21 km), a nawet w Lublinie (39 km). Powiaty bełżycki i opolski charakteryzują się wysoką kulturą rolną, wteż choć nawet w okolicy Chodla gleby na ogół średnie i słabe, wieś jest dość zamożna.

Wszystkich informacji (z wyjątkiem tej o zamożności, bo dziś każdy woli narzekać) udzieliła mi p. Lidia Stanulewicz, referentka w Gromadzkiej Radzie Narodowej. Gdy wszedłem, zajęta była interesantem sprawdzającym, czy jego nazwisko jest na liście wyborczej. W gromadzie głosować będzie około 2200 osób. Przewodniczący Prezydium GRN, Tadeusz Figiel, wizytował służbowo którąś wieś (chcieliśmy po południu pojechać do niego do domu, w kolonii Borów, w której prowadzi swe gospodarstwo, lecz zastrzymano nas błotem na polnej drodze). Sekretarz Prezydium, Janina Wyroślak, przebywała na kursie w Lublinie.

Pogawędziłem jeszcze z kierownikiem gromadzkiego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, p. Tadeuszem Żyszkiewiczem. Mówił mi o swych wrażeniach. A on na to, że w roku bieżącym oddadzą do użytku nowy budynek, który zajmie GRN i Urząd Stanu Cywilnego, a parter — sklepy GS. Oddadzą też dwa domy mieszkalne, jednopiętrowe, dla 6 rodzin każdy (o mieszkaniu z budownictwa państwowego stara się jeszcze około 20 rodzin). Położą też 200 metrów chodnika. I jeszcze chwali się, że mają na zalew na Chodelce około 18 ha powierzchni, wokół las, szukają właśnie kontrahenta z miasta na zagospodarowanie go. Może jak „Kamena” napisze, ktoś się znajdzie? — pyta z nadzieją w głosie.

Trąfiliśmy na ruch duży, gdyż dziś w Chodlu jest skup żywca. W bazie pod osadą, w długim białym budynku pochrząkują nerwowo pięknie wyrosnięte tuczniaki. Tadeusz Suder, referent skupu żywca z GS Ratoszyn (Chodel nie ma swej spółdzielni), mówi, że od czasu wprowadzenia nowych cen skupu i zniesienia obowiązkowych dostaw kupują po około 30 procent nierogacizny więcej niż w analogicznych okresach ubiegłego roku. Chłopi już wcześniej, gdy tylko to ogłoszono, zwiększyli hodowlę trzody chlewnej. Oplaca się. Dawniej, w obowiązkowej dostawie, gospodarz dostawał 11 zł za kilogram żywca I klasy, teraz dostaje 28,30 zł Spada natomiast podaż — w przeliczeniu na kilogramy — młodego bydła. Jeśli gospodarz trzyma cielę, to z myślą, że wyhoduje mleczną krowę. W przeciwnym wypadku zbywa je szybko. Właśnie w kacie budynku porykują żałośnie cztery maleńkie, może 5-6 tygodniowe cielęta, ogłupiałe wskutek odsunięcia od matek i głodne, bo cielęta mniej więcej na dobę przed ubojem już się nie karmi.

Jeden z dostawców, 26-letni Jerzy Bielecki z Adelina, tłumaczy mi: sprzedał cielę, miało 63 kilogramy, wziął po 19,50 zł za kilogram. W domu pozostały mu 3 krowy, w tym jedna na ociepleniu i 2 jałówki. Cielęciami trzymać się nie opłaca, gdyż wypija około 15 litrów mleka dziennie, a za litr w skupie płać 3,80-4 zł. Poza tym mleko potrzebne mu jest dla prosiąt. Ma 20 świń (z czego 8 prosiąt), za parę do 18 kg płać na jarmarku 1500 zł, a w skupie po 27,30 za kilogram plus za złoćkę węgla, lub po 28,30, gdy rezygnuje się z węgla. Pan Bielecki, jak większość rolników, rezygnuje z węgla, ma go spory zapas, gdyż odstawia sporo świń. Teraz też, z cielęciami, oddał prosiaka o wadze 122 kg.

Wchodzi kobieta jeszcze krzepka, Stanisława Siuda, również z Adelina. Odstawia 2 jałówki. Miesiąc temu odstawiła też dwie. W domu ma jeszcze 4 cielęta i 1 krowę. Też ją sprzeda, daje za mało tuste mleko. Pani Siudowa gospodarzy z dwoma córkami na 8 ha ziemi. Pastwiska własnego nie ma, krowy karmić nie ma czym. Będzie trzymać tyle, by wystarczyło mleka dla prosiąt. A prosiąt jak najwięcej. Teraz ma dwie maciory zaproszone i dwa warchlaki. Świnie, gdy podrosną, sprawią mniej kłopotów. Byłe kartofle były — i w porządku, nakarmione.

Pod drugi budynek w bazie podjeżdżają puste wozy. Mieści się tu punkt sprzedaży materiałów budowlanych. Zaopatrzenie w nie poprawiło się, lecz w dalszym ciągu o niektóre bardzo trudno, np. o eternit. Kazimierz Buczyński, rolnik na 8 ha w kolonii Borów, odstawił dwa tuczniaki i wracając zabierze cement dla sąsiada. Sam chciał kupić sobie parnik elektryczny, niestety nie ma. Jeśli chłop ma zwiększyć hodowlę, musi mieć ułatwienia w pracy. Obsługa parnika elektrycznego jest lżejsza niż zwykłego, a poza tym prąd w godzinach nocnych kosztuje taniej niż opalanie węglem.

Wizyta w Ośrodku Zdrowia. Dr Henryk Kwapien ma worki pod oczami. Od 1 stycznia, gdy wieś uzyskała bezpłatne lecznictwo, przyjmuje po 40-50 pacjentów dziennie. Dawniej było ich po 20-25. Lekarz ocenia, iż zwiększona liczba pacjentów to w 10 proc. przypadki zastarzałe, ci, którzy przedtem nie leczyli się, bo szkoda im było pieniędzy. Reszta to ludzie cierpiący na dolegliwości, jakich na ogół nie leczono, głównie nerwice oraz kłopoty zdrowotne związane z okresem pokwitania. Zresztą lud-

ność wiejska nie przychodziła z tym do lekarza nie tyle z powodu wysokości opłat za porady, ile z powodu cen leków. Dr Kwapien spodziewa się, że gdy zacznie się okres robót w polu odejdą mu pacjenci, a przybędą inni: ludzie starzy, którzy obecnie, w zimie, obawiają się uciążliwości podróży do lekarza. Na wsi nie zawsze jest zrozumienie, że człowiek w podeszłym wieku, jeśli nie jest obłożnie chory, potrzebuje opieki medycznej. Nie zawsze chcą ojca czy teścia przywieźć do Ośrodka. Z wiosną przyjdzie sam.

Pytam lekarza, czy bezpłatne leczenie wsi nie odbierze mu pacjentów prywatnych. Och nie, nie obawia się, praktykę prywatną prowadzi w stanie szpitalnym. Przechodził niedawno zawal, wskutek groźnego skrzepu amputowano mu nogę; choć liczy zaledwie 41 lat, nie stać go na dłuższy nadmierny wysiłek. Już prosił władze powiatowe o drugiego lekarza.

O tym, jak jest w aptece, opowiada jej kierowniczka, mgr Irena Świątkowska. Rolnicy tak są zadowoleni z płatności za leki 30 proc. ceny, że zdarza się, iż nie chcą brać reszty, trzeba wpychać ją siłą. Nigdy tego nie było. Narzekają za to, że teraz wolno wydawać jednorazowo mniejsze porcje leków niż dawniej. To zmusza niektórych do częstszych wizyt u lekarza. Poza

tym lekomania na wsi jest nie mniej rozpowszechniona niż w mieście.

Ale o tym decydują nieraz obiektywne warunki. Mieszkaniec miasta z byle laniem w kolanie, bólem gardła czy głowy podąży do specjalisty. Co ma robić rolnik z zapadłej wioski, choćby z takiego Borowa; 6 km od Chodla, polną drogą? Gdy sprawa nie wydaje mu się groźna, czeka aż cierpienie minie, lub bierze posiadane przez siebie czy sąsiada leki według własnego rozważania. Nawet zadzwonił do lekarza i spytał się nie może, bo w Borowie nie ma ani telefonu, ani choćby punktu alarmowego. Od tej strony proponował mi spojrzeć na sprawę p. Stefana Woźniaka, przewodniczący Gromadzkiego Komitetu FJN. Z zawodu telemonter, opiekujący się rejonem, w tych sprawach jest dobrym znawcą. Takich wsi jest wiele. To właśnie, brak telefonu, jest dziś oznaką dziury zabitej deskami. Uchwała VI Zjazdu PZPR mówi o konieczności doprowadzenia w szybkim czasie telefonu do każdej wsi, jednakże zainteresowani muszą też sami dobijać się o jak najszybszą jej realizację. Chodel jest obecnie w dobrej sytuacji. Kierownik tutejszej szkoły podstawowej, Hieronim Curyśkiewicz, kandyduje na posła. Trudno powiedzieć, czy zostanie wybrany. Wiadomo, nauczycieli znają głównie mieszkańcy rejonu jego szkoły. Lecz sam fakt, że wysunięto jego kandydaturę, ułatwi mu poruszenie w okresie przedwyborczym na szerszym forum spraw lokalnych.

Wieczorem kierowca i ja chcieliśmy znów napić się kawy. W klubie „Ruchu” w Chodlu było zimno, pusto, nieprzyjemnie, a kierowniczka gdzieś wyszła. Ten sam jegośmość po kilku dużych piwach, który przedtem radził nam księża wygódkę, teraz spotkany, objął każdego z nas serdecznie w pól, ucałował jak braci i zachęcił do odwiedzenia Klubu Rolnika w Osinach, należących do gromady Chodel.

Osiny leżą przy bocznej drodze, trafiliśmy nie bez trudu. Za to klub znaleźliśmy łatwo, mieści się w okazałym Wiejskim Domu Kultury. W jednej sali była lodownia, ale za to w następnej ciepło, czyste stoły, uprzejma bufetowa. Spotkaliśmy znajomych z punktu skupu, rozmowa zeszła na tematy handlowe. Skarżyli się na słabość i snobizm programu telewizyjnego, na marginalne traktowanie przez tv wsi. Na różne drobne, lecz dokuczliwe błędki życia na głębokiej prowincji, które sprawiają, iż młodzież z takich Osin, czy sąsiedniego Trzcinca, ucieka do pracy w mieście. Wzrasta przeciętna wieku rolnika i jeśli ludzie w mieście chcą czegoś lepiej jeść, za uchwałami o bezpłatnym leczeniu i zniesieniu obowiązkowych dostaw muszą iść kolejką, korzystnie dla wsi decyduje.

Józef Baran

Naiwność mądrych

głupi stał samotny nad brzegiem rzeki

gladził jej pomarszczoną skórę i śniły mu się pod pałkami delikatne ciała dziewcząt

one rozłożone obok na piasku nadstawiały się słońcu filutem

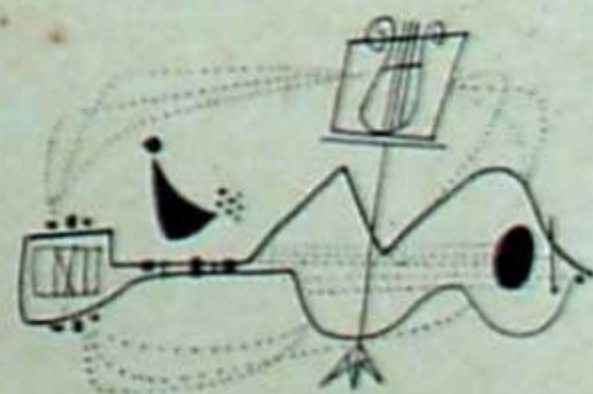
głupi stał samotnie i od czasu do czasu przekrzykiwając śmiesznie małą główkę zezował na mądrą tego świata

nagle

zauważył w powietrzu wiszącego ptaka

zerwał się i pofrunął za nim hurkocząc rękami

a wszystkim dookoła wydawało się że dalej stoi nad brzegiem rzeki i tylko tak przymierza ramiona do powiewającego wietrzyka



Rys. L. Szalecki

Mały poeta

na piaskownicy malec bawi się kilkoma wywiechtanymi zdaniem otrzymanymi w prezencie od starszych

rozkręca na słowa sylaby litery przymierza do zabawek piasku słońca i

gdy nie posują odsuwa skobel języka wypuszcza na wolność nowe słowa

znowu rozkręca skręca przymierza

Karzeł

choć jedna połowa sylwetki rymuje się z drugą połową sylwetki zbudowany jest jak przybasiowski wiersz skondensowany

jako oszczędność w każdym wersie ciała żadnej rozciągliwości kalwaryjskiej

wystarczy pointa karzeł cyrkowy

Gdzie gwiazda kana
krwawiąc kolczan wzroku

twoje rysy zastępy
w mroźnym powietrzu
jak witraż

sople twoich warg
zapadły w zwierciadle
jak światło

biała kra wiatru
krwawi lustro twego oddechu
gwiazdą giłw

dołnij noc
gdy w półmroku śniegu
świta nów zawieł

Kocują jak wilk pośród zawieł
i wiatr wzburza wirów buków
zwierciadło krwi jak ogień
gwiazda wskrzesza w gałęziach
skrzydło śniegu jak witraż
pochylił się jak nów
nad lutnią lasu
pochylił się jak jeleń
nad srebrną cytrą potoku

Jeszcze się przymierzam
Spoglądając w stronę Przyszłego
Jeszcze nie pozbiierałam
I nie przetłumaczyłam
A już mi szatę godową podają
W pojętej matni tkaną

Jeszcze nie wysłuchałam
I nie powtórzę

Uwertura synagoidalnie brzmi wrogo
Choć dłoń mam czystą
I czasu na zniknięcie za
horyzontem

Miałeś nakreślić cieniem ulotnym
nietrawnym i przejrzywym
Umieć opisać piórem posty
(codziennym słowem)
i uczuć nadmiar i niedostatek
(gdy iza tak blisko, gdy palce łamiemy)
Kochać zrytualnie, o tak po prostu
jak kochać trzeba
— to wielka sztuka, choć bardzo ludzka
choć i człowiecza —

W życiowej matni jak ptak się miotając
— a jednak kochać —

Na tym polega
Liryka cieni

Powiedzmy Kowalski

Rodzinne niedyskrecje

Stanisław Harasimiuk

ZAWSZE lubiłem jasne sytuacje, a z okresu studiów jeszcze pozostała we mnie jakaś smykalka do amatorskiej socjologii.

Wyznanie inżyniera nie stanowiło żadnego zaskoczenia, dziś co drugi tzw. inteligent skrzętnie pielęgnuje, a już na pewno głośno przyznaje się do owej smykalki socjologicznej. Prawie zawsze z zastrzeżeniem: po amatorsku, na prywatny użytek wyłącznie. To również symptomatyczne. Ale mój inżynier, powiedzmy, inż. Kowalski, mimo wszystko typowy nie jest.

Ma lat 35, Politechnikę Warszawską ukończył w 1963 r. Od lat dziesięciu żonaty. Dwoje dzieci, dziesięcioletnia córka i pięcioletni syn. Żona pracuje — średnio wykształcenie techniczne. Oboje w Lublinie osiedli od połowy 1965 r., oboje pracują w tym samym zakładzie przemysłowym metalowego. On jest kierownikiem sekcji w dziale technologicznym z wynagrodzeniem podstawowym 3200 zł, ona ekonomistką w dziale inwestycji z uposażeniem 2350 zł. Na czysto, nie licząc kwartalnych premii oraz innych, jak się okazało, niebagatelnych źródeł dochodu inżyniera — stały miesięczny budżet rodziny opiera się na kwocie 4736 zł. Po doliczeniu mniej więcej regularnych premii budżet powiększy się do sumy 5684 zł. Wielkość zbliżona do przeciętnej dla tej grupy zawodowej.

Mieszkają w osiedlu spółdzielczym, na drugim piętrze nowego bloku zajmują dwa pokoje z kuchnią. Wyposażenie mieszkania: meble segmentowe produkcji krajowej (Wyszaków), telewizor „Tosca”, radio Diory za 1800 zł, adapter „Bambino” z pokazną płytoteką, telefon, lodówka „Foka II”, radiolampa odkurzacza „Czajka”. Reszta również niczym się nie wyróżnia, analogiczne przedmioty spotkać można w tysiącach mieszkań inteligentek i robotniczek całego kraju. Nawet biblioteczek liczących do 200 najrozmaitszej treści i wartości tomów czymś osobliwym bądź wyróżniającym nazwać nie można.

Ale na tym kończy się przeciętność sytuacji i egzystencji rodziny naszego inżyniera. Odmienność jej wyznaczają dwie okoliczności: głowa domu jest znanym w środowisku racjonalizatorów i wynalazców, co wydatnie zwiększa rodzinne fundusze; zaś głowa domu od lat 6 systematycznie prowadzi skrupulatną księgowość i pedantycznie bilansuje każdego miesiąca i roku, co umożliwia wszechstronna i wnikliwa analizę fiskalną i socjalną pozycji państwa inżynierostwa z jednej strony oraz przysparza sporo, jak się wydaje, niezmiernie cennych spostrzeżeń natury ogólnej.

Dziennik osobliwy

Inżyniera od 1 stycznia 1966 r. dzień po dniu odnotowuje wpływy z dokładną specyfikacją ich źródeł, następnie wydatki — na produkty żywnościowe oddzielnie, oddzielnie na potrzeby materialne (z zaznaczeniem ważniejszych nabytków) i potrzeby duchowe, określane w odnośnej rubryce dziennika słowem kultura. Ponadto dziennik zawiera rubryki wplat i wyplat PKO, rozliczenia delegacyjne i refleksyjna, jeśli można tak określić, część pod nazwą UWAGI.

Lata 1966 i 1967, z powodu komplikacji przedporodowych i rocznego urlopu bezpłatnego gospodyni, wyraźnie odbijają się na tle lat następnych skromnością i gospodarnością. W dzienniku po stronie wpływów inżynier doliczył się sumy 59 257 zł, po stronie wydatków — 42 509 zł (w tym na tzw. życie 18 852 zł). Inżynierostwo na PKO odłożyli w roku 1966 złotych 13 869. Mieszkali u rodziców inżyniera, lada miesiąc mieli otrzymać klucze do własnego spółdzielczego M-3.

Otrzymali je w lutym 1967 r. Rok ten rozliczyli następująco: wpływy — 80 954 zł, wydatki — 101 965 zł (w tym na życie 24 953 zł — karmiąca matka i nowy członek rodziny). Z PKO inżynierostwo wybrali 20 612 zł. Ale z lat poprzednich zgromadzone oszczędności jeszcze nie zostały wyczerpane, na koncie pozostały obie 9-tysięczne książeczki samochodowe i 1100 zł na książeczce obiegowej, razem 19 100 zł oszczędności. Tak więc poszerzenie rodziny, choroba żony i urządzenie oraz wyposażenie mieszkania nie naruszyły stabilności materialnej istniejącej już od 4 lat rodziny. Przeciwnie — radosna gęba stabilizacji zaczęła się dopiero rozciągać w zachęcającym uśmiechu: żona wraca do zdrowia i pracy, inżynier z zapalem rozpracowuje nowe tematy (w r. 1967 honoraria z tego tytułu wyniosły 19 286 zł).

I nadszedł rok ów, pierwszy rok obfitości. Bilans 1968: wpływy ogółem 103 942 zł (w tym 35 142 zł z tytułu prac koncepcyjnych inżyniera); wydatki — 70 742 zł (w tym na życie 28 815), wplaty na PKO 33 234 zł. Łącznie stan oszczędności na koniec roku wyniósł 52 334 zł.

Kolejny 1969 r. w ocenie inżyniera był nieco gorszy: wpływy ogółem 88 490 zł (wynagrodzenie za projekty racjonalizatorskie 19 380 zł) wydatki łącznie — 94 380 zł (w tym na życie 29 300). Stan oszczędności zmniejszył się więc nieco i wyniósł 46 934 zł.

Komentarz inżyniera w dzienniku: Futro Mireczki — 11 450, Leba — 7900, Zakopane — 6950. Wzrost wpływów pociąga automatycznie zwiększenie wydatków — pierwsze prawo stabilizacji. Duże niebezpieczeństwo!!! Wyjście tylko jedno — większe wpływy, więcej zarabiał.

A więc już z socjologa, bezstronnego rejestratora faktów, inżynier nasz przepoczwarcza zaczyna się oto w ekonomistę. Naturalnie wnioski zdradzające orientację w kanonach ekonomii politycznej inżynier formułuje wyłącznie na prywatny użytek, i w tej dyscyplinie, jak w socjologii, jest nadal i pozostanie amatorem. Amatorem potrafiącym jednak z teoretycznych uogólnień wyciągać praktyczne konsekwencje.

Rok 1970 dla materialnej kondycji inżyniera bynajmniej nie stanowił adekwatnego odpowiednika do sytuacji krajowej. Oto wymowny bilans: wpływy ogółem — 119 290 zł (49 295 zł z tytułu prac koncepcyjnych), łącznie wydatki 118 140 zł (w tym na życie 32 330). Oszczędności wzrosły o 3 150 zł i osiągnęły sumę 50 084 zł.

Komentarz inżyniera w dzienniku: „Syrinka”, używana, za 32 tysiące, liczę na tanie części, własna robota. Decyzja po analizie ekonomicznej (podkreślenie moje — SH).

Ortowo i Hel, własny namiot, własna organizacja — 5 600. Benzyna turystyczna. 3 800 wstępne koszty garażu (m. in. wódki z członkami komisji). 3 800 choroba Mireczki. W sumie o'kay.

W rok 1971 inżynier nasz wyjechał już własną „Syrką”, z pozytywą decyzją o budowie własnego garażu, z ugruntowaną opinią dobrego fachowca, któremu zakład nacierzysty zaproponował poważne stanowisko kierownicze z wyższą o ponad tysiąc złotych pensją. Ale inżynier nie przyjął oferty. (To oznaczałoby koniec roboty koncepcyjnej. Kierat, papierki, nerwy. Rzecz nie dla mnie, zupełnie nieopłacalny interes. Na swojej dtubanie zarobię więcej i to na spokojnie, bez nerw. Ambicjonalnie też uolę status quo. Tu mam szacunek, a tam, niechby tylko co nie wyszło, każdy może psy na mnie wieszać... Obawa przed odpowiedzialnością? Nie nazwałbym tego tak. Za swoją robotę ponoszę przecież pełną odpowiedzialność, także finansową. Niech każdy robi, co najlepszej potrafi. I co lubi. To bardzo ważne moim zdaniem). Inżynier oferty nie przyjął ale nie można też powiedzieć, że u podłożu tej zaskakującej dla przełożonych decyzji leżało wyrachowanie, czy oportunistyzm; jestem skłonny odmówić włączyć z nawykami ekonomicznego myślenia, niedołącznym inżynierowi od lat paru.

Wróćmy do faktów. Ostatni w dzienniku 1971 rok inżynierostwo zamknęli wpływami łącznymi w kwocie 99 010 zł (29 210 zł za racjonalizację), wydatkował zaś 114 980 złotych (w tym na życie 34 234). Oszczędności rodziny stopniały o 15 870 zł, do kwoty 34 214 zł, ale stan jej posiadania wzrósł o garaż wartości kosztorysowej 17 500 zł i wkład do spółdzielni mieszkaniowej w wysokości 24 000 zł — na M-5. Inżynierostwo zrobiło się bowiem klasno. Wprawdzie w swoim M-3 mieszkają już od 5 lat, ale przecież każdy przyzna, że zagęszczenie 4 osób w dwupokojowym mieszkaniu o ogólnej powierzchni 34 m kw. do wygodnych warunków mieszkaniowych zaliczyć nie sposób. (Każdy ma prawo do wyższych aspiracji. Zwłaszcza, gdy płaci uczciwie zarobionymi pieniędzmi, a zaspokojenie tych aspiracji zgodne jest z interesem społecznym. Bo jest zgodne. Mogłbym dużo więcej zrobić, gdybym miał w domu odpowiednie warunki, swój pokój do pracy. Pan jako dziennikarz ma prawo do nadmierności, a w czym jestem gorzej ja? Przecież moje projekty to dodatkowa, lepsza i tańsza produkcja. W moim przekonaniu o równananiu szansa można mówić tylko jednokierunkowo — w górę).

Widzimy zatem jak konsekwentnym procesom stabilizacyjnym ulega nie tylko kondycja materialna inżyniera, ale i jego socjologiczno-ekonomiczny styl myślenia. Trudno o celniejszą egzemplifikację kanonicznej wręcz prawdy o świadomości przez byt ukształtowanej. Jakkolwiek inżynier jest — jeśli idzie o poziom osiąganych zarobków — raczej nietypowym reprezentantem swego środowiska, to typowe są na pewno jego reakcje i wynikająca z przemyśleń tzw. życiowa postawa. Jest młody, zdolny, energiczny i konsekwentnie zmierza

do owocnej eksploatacji tych walorów. Nie uprzedzajmy jednak wniosków, w dzienniku inżyniera są jeszcze liczne

interesujące szczegóły

warte pobieżnego choćby zilustrowania. Na początek przypomnijmy w przejrzystym zestawieniu wydatki określone w dzienniku jako te przeznaczone „na życie”:

rok	1966	1967	1968	1969	1970	1971
kwota	18 852	24 952	28 815	29 300	32 330	34 234
liczba osób	3	4	4	4	4	4

A więc w ciągu ostatnich 5 lat koszty wyżywienia jednakowo liczonej rodziny znacznie wzrosły. Pani inżynierowa zapewnia, iż w okresie tym menu domowej kuchni nie uległo istotniejszym zmianom, gusta i upodobania podniebienne domowników są mniej więcej ustabilizowane i niewybredne; powolnemu zwiększeniu ulegała natomiast porcja, zwłaszcza przeznaczone dla córki (syn zasadniczo posiłki spożywa w przedszkolu).

Wzrost zarobków szczegółowo zilustrowaliśmy już wyżej — z tym, że płace zasadnicze obojga małżonków od roku 1968 pozostają bez żadnych zmian.

O ile wydatki na wyżywienie wykazywały stałą tendencję zwykłą, o tyle sumy przeznaczone na potrzeby kulturalne systematycznie kurczyły się z roku na rok: w pierwszym inżynierostwo „ukulturalniał” się za 2 436 zł, w ostatnim już tylko za 1 135 zł. Na stronach dziennika z r. 1966 i 1967 znajduje się sporo notatek z cenami biletów do teatrów lubelskich i warszawskich, z cenami i tytułami zakupionych książek, płyt, prenumerat „Polityki”, „Kultury” i „Kamery” (w 1966 r.). W dzienniku z 1971 r. natomiast najczęściej notowanym wydatkiem kulturalnym jest kino L. rachunki z kawiarni. (Chroneżny brak czasu mnie przesładuje. Nawet na telewizor pozwałam sobie w sobotę i niedzielę, albo jak jest dobry mecz. Masę pracuję).

Inna rzecz znamienita: dopóki Kowalscy nie byli zmotoryzowani, choć były to imprezy relatywnie bardzo kosztowne, jeździli regularnie dwa razy do roku na dwutygodniowe wycieczki — latem nad morze, zimą w góry. Od r. 1970 wyjeżdżali — już nieporównywalnie tańszym kosztem — tylko raz w roku, nad morze.

Inżynier — Ograniczenia wyjazdów narzucają koszty eksploatacji samochodu. Cztery kółka kosztują przeciętnie co miesiąc 650—850 zł. Ale to nie znaczy, że teraz relaksujemy mniej. Przeciwnie, każdy pogodny weekend spędzamy gdzieś poza miastem.

Inżynierowa — Szalenie rosną koszty utrzymania dziecka. Dla siebie możemy szarpać się na jednorazowy telekazy wydatek i ta rzecz służy całymi latami, a dla dzieci ciągle trzeba kupować.

Inżynier — Nie narzekamy, proszę nas dobrze zrozumieć. Dzieciom, jak sądzę, niczego nie brak. Ich warunki i moje czy żony, oboje pochodzący ze wsi, to wiebo i ziemia, nieporównywalnie zupełnie rzeczy.

Ale gdyby mnie ktoś chciał zapytać, dlaczego mamy tylko dwoje dzieci, nawet nie próbowałbym z takim gościem dyskutować. Typowe pytanie retoryczne.

Zamiast wniosków

i refleksji nad dziennikiem i w ogólę rodziną inżyniera Kowalskiego oddajmy mu głos raz jeszcze:

— Niech pan nie da się zaszokować tym stutysięcznym dochodem w ostatnich latach. To tylko brzmi groźnie. Bo niechby pan spróbował zdjąć dodatkowe zarobki, co zostanie... Lepiej niech pan zanalizuje rzetelnie, co ja takiego wielkiego zwojowałem przez te 10 lat harony? Mieszkanie z prawdziwego zdarzenia dostanę dopiero po siedemdziesiątym piątym, prawdopodobnie w ósmym. Mam wybudowany całkowicie własny kosztowny garaż, który po 10 latach dzierżawy stanie się własnością emzebeemu, z którym dziś już płacę czynsz. Mam samochód. To brzmi, nie?... Grat, do którego trzeba wkładać jak w worek bez dna. Mam dokładnie to samo, co wszyscy dookoła, trochę więcej od jednych, trochę mniej od innych. Zona, owszem, ma futro z nutrii, ale ja chodzę już piąty rok w tej samej jesionce. Mam parę złotych oszczędności, ale nie mogę ich ruszyć, bo są to dwie książeczki samochodowe. Jak na razie to poprzez nie widzę jedyną drogę do zdobycia samochodu z prawdziwego zdarzenia, takiego, którym pojedą bez obawy, że z powrotem ktoś mnie będzie musiał przyholować. No a poza tym muszę zbierać na konto tego nowego mieszkania, co w nie trzeba będzie przecież wstawić, te graty są już po części zużyte, po części niefunkcjonalne... No, krótko — jakby tak wszystko podliczyć, okazałoby się, że spod tych stu tysięcy wychodzi przeciętność, albo prawie przeciętność... Nie, to nie ma nie wspólnego z tak zwaną postawą konsumpcyjną, czy zaprzeczeniem na model zachodniej obfitości. Po prostu każdy powinien mieć szansę wypracować, podkreślam — wypracować dla siebie takie życie, takie jego warunki, jakie są w danym momencie możliwe. Na i nie gorze niż realistyczne, obiektywne przytemperowane aspiracje. Przecież nie można patrzeć w żadnej dziedzinie do tyłu. Mam rację?

— Nie potrafiłem inżynierowi, powiedzmy, Kowalskiemu, ani przyznać, ani też odmówić racji. Racji jest tyle, ilu jest ludzi, a są przecież i racje nadrzędne, ponadjednostkowe. Ale obawiam się, iż Kowalski je identyfikuje, gdyż przy party do muru powiedział:

— W końcu najważniejsze jest to, żeby uczyć się pracować i coś mieć z tej pracy. Satisfakcję, ale nie tylko satysfakcję. Ważny jest zysk społeczny, ale nie tylko, nie wyłącznie społeczny. To musi z sobą grać jak w zegarku. Inaczej zegarek zaczyna zrywać. Mam rację?

Owszem, testu dożyć z pana amatorem ekonomista-socjolog, panie inżynierze — tyle tylko uczciwie mogłem odpowiedzieć inż. Kowalskiemu i prywatnie, i jako reporter. Także zresztą amator...



Tadeusz Różewicz — „Kartoteka”. Piotr Wysocki (Kelner) i Kazimierz Borowiec (Bohater).

Fot. W. Parys

Próba uczestnictwa

Maria Bechcyc-Rudnicka

O WYSTAWIENIU „Kartoteki” w Teatrze im. J. Osterwy była mowa już bardzo dawno, bodaj od razu po wydrukowaniu sztuki w „Dialogu” czyli lat temu dwadzieścia. Chciała ją wyreżyserować Zofia Modrzewska, ale natrafiła na opory. Czas upływał. Ukazały się gdzie indziej — „Wyszli z domu”, „Nasza mała stabilizacja”, „Moja córka”, „Stara kobieta wysiaduje”... Nic z tego nie dotarło do lubelskiej sceny zawodowej. Teatromani zaczęli sarkać, m. in. i niżej podpisana opublikowała pewnego dnia artykuł pod tytułem „Kto się boi Tadeusza Różewicza?” Dopiero w r. 1970, z inicjatywy Kazimierza Brauna i w jego reżyserii, wystawił Teatr Osterwy „Akt przerywany”, który po Warszawskich Spotkaniach Teatralnych zdobył sukces w szali krajowej.

A oto mamy wreszcie „Kartotekę”, wyreżyserowaną również przez Brauna.

Trzeba przyznać, że jakby na powetowanie straconego czasu, ukazują się u nas ta długo oczekiwana sztuka w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach: primo, poetyka dramaturgii Różewiczowskiej jest Braunowi szczególnie bliska, secundo — dojrzał już do niej całkowicie dziesięć lat temu zespół aktorski.

Summa summarum poszkodowany został tylko recenzent, bo po dwunastu latach zwłoki coś można powiedzieć świeżo o „Kartotekę”, wielokrotnie wszechstronnie przeanalizowanej? Termin „collage” np. stał się w odniesieniu do jej struktury formalnej definicją obiegową już od r. 1963, kiedy to „Dialog” zamieścił świetny esej Marty Piwińskiej, którego fragmenty znajdzie w programie spektaklu.

Kazimierz Braun dał jednak późnemu recenzentowi pewną szansę, wprowadzając do spektaklu kilka scen nie figurujących w pierwotnie opublikowanym tekście, wydrukowanych w zeszytowanej „Odrze”. Dzięki owym uzupełnieniom można by dziś dyskutować z Martą Piwiń-

ską, kiedy mówi o dramatach Różewicza, że zamknięcie sceny przed przeszłością, to zamknięcie tak — poza jedną sceną w „Kartotekę” — zupełne, tak „nieróżewiczowskie” wyznaczane przeszłości z pamięci określiło ich swoistą współczesność. Chodzi naturalnie o przeszłość okupacyjną. Nie wiem, o jakiej „jednej” scenie „Kartoteki” wspomina Piwińska, czy o scenie z Dziewczyną Niemką, której Bohater opowiada, jak to polował z jej ojcem w lasach na ludzi, czy też autorka eseju miała już dostęp przed 1963 r. do sceny z Chłopem-partyzantem, opublikowanej w r. 1971. Ale jeśli nawet ją czytała, to wypadnie przyznać, że teatralna realizacja tej sceny, nadając jej specyficzną dobitność, wnosi nowy element do ocen. W każdym bądź razie nie pozwala stwierdzić totalnego zerwania związku z umarłymi, gdyż obciążające Pana Podchorążego rozstrzelanie partyzanta jest co najmniej jedną z przyczyn „niesmaków” Bohatera, jako tragiczny koszt powstałej „współczesności”, koszt — dodajmy, którego tragizm został pogłębiony „spadaniem”.

Współczesność? Niewątpliwie „Kartoteka” jest współczesna — w planie moralnym. Jakkolwiek by Różewicz wyszydzał „moralistów”, Bogiem a prawdą — najbardziej go obchodzi we współczesnym świecie właśnie sprawa „spadania” moralnego „na wszystkie strony”. Ja — widz, przyjmując „Kartotekę” do mojej świadomości, najchętniej dostrzegam w niej przyczynowe związki „spadania” cywilizowanego świata — z żywiołowo dziś „konsumpcyjnym” nastawieniem ludzkości, z żarłocznym polykaniem naprzecde dóbr, jakie może oferować życie. I pragnę widzieć naczelną ideę sztuki nie w rozrachunkach politycznych, lecz w osobistej odpowiedzialności moralnej każdej jednostki ludzkiej. Wydaje mi się, że w odróżnieniu od rozgrzeszających koncepcji Bryllowych, Bohater „Kartoteki” nie szuka alibi w uwarunkowaniach politycznych. Jest wprawdzie epizod w „restauracji” budapestzkiej, ale skądinąd wspomnienie o rozstrzelanym partyzancie, obiektywne stwierdzenie zbrodni popełnionej przez podchorążego, jakby stanowiło w pewnym sensie pendant do śmykłych widoków.

Rzecz dziwna: mimo konstatacji nader pesymistycznych, „Kartoteka” nie pogrąża widza w czarnej rozpacz. Sądzę, iż przyczyną tego paradoksu jest przeświadczenie, że autor neguje nie sens życia w ogóle — z punktu widzenia egzystencjalisty, tylko sens takiego życia, do jakiego doprowadził człowieka współczesny model cywilizacyjny. To nieprawda, jakoby postacie „przepliwające przez strumień podświadomości” Bohatera (tak się wyrażamy, nauczeni „Ulissesem”), nieprawda, jakoby te postacie były abstrakcyjne. One są w tym jego śnie zdumiewająco realne, zbiorowe a konkretne, po prostu typowe dla otaczającej rzeczywistości. Trzeba było aż obandażować szalenie twarz dziennikarza (Henryk Sobiechart), by zamienić go w manekin czy sztomał. Wszelkie „zmaczekizowanie” postaci w tym spektaklu są stylistycznymi chwytami inscenizatora, reszta uwydatniająca mi korzystnie współczesność faktury sztuki. Tylko że współczesność faktury Różewiczowskiej jest nieszablona, znajduje się w niej miejsce i dla żywego człowieka. Trudno oprzeć się wrażeniu, iż autor lubi ludzi i odnosi się do nich, jeśli nie pobłażliwie, to z serdecznym politowa-

niem. Ich głupkowate zbitki pojęciowe pobudzają go raz po raz do śmiechu, który się łatwo udziela widzowi, bo vis comita jest jedną z atrakcyjnych cech talentu Różewicza-dramaturga.

Kazimierz Braun uwydatnił wszystkie walory „Kartoteki”. Wprowadzenie sceny z Chłopem-partyzantem (Kazimierz Siedlecki) i rozmowy budapestzkiej z Kelnerem (Piotr Wysocki) bez wątpienia dodało całości ciężaru gatunkowego. Nie wprawdzie nie dodaje wtargnięcie „harczerzyka ze snu”, ale jego harce po łóżku i sztabacki kawat są tak pocieszne, że zarówno reżyser, jak wykonawca (Sylwester Woronicki), zasługuje na brawko. Drętawy natomiast wydał mi się epizod Górnik (Maciej Polaski). Ten publiczniczny komentarz do i tak niedwuznacznego „klaskałem” można było opuścić bez szkody dla spektaklu.

Podziwu godna jest maestia, z jaką autor i inscenizator złożyli w wymowną całość pozornie luźne scenki, z których każda naprawdę wnosi element potrzebny do scharakteryzowania absurdalności tradycyjnych konwencji życiowych bądź nonsensu jakichś poczynań niekonwencjonalnych, lecz wynikłych z wynaturzenia życia. Celny efekt dają naiwne perswazyje rodziców (znakomici są w rolach: Ojca — Krystyn Wójcik i Matki — Maria Szczehówna), wystarczy ustawić myślowo te przestrogi w kontraście z tragizmem dziejów, których Bohater był podmiotem i przedmiotem! Do najbardziej wybitnych należą sceny Wujka, którego pozorny autentyzm i konwencjonalna dobroduszość pielgrzymca zostają zdemaskowane w repryzie opowiadaniem o „dowódcy w zupie pomidorowej”. Utalentowany aktor, Stanisław Olejarnik, dokonał niebagatelnej ekwilibrystyki psychotechnicznej, by wydobyć ze skamieniały trochę sztucznego ciepła. Ciekawie też wypadła „biograficzna” scena Bohatera z „grubą” Kobieta (zabawna w mianach i ruchach Barbara Kozłarska). Zostało to wskazane jedno ze źródeł frustracji, rezygnacji, alienacji, abominacji. Frapuje zwłaszcza moment, kiedy rzekomo „pusty” Bohater „napenia się” nagle poetyzowaniem. Niepoślednią wymowę ma także „senna wizja” odwiedzin Zony. Jej duchową tandetność umiejętnie odtworzyła Barbara Wronowska. Scenografowi brawo za „operetkowy” kostium.

Wręcz kapitalny jest epizod egzaminu, rozegranego między Bohaterem a Nauczycielem (Paweł Nowisz). Nielatwo byłoby o bardziej dosadne zademonstrowanie tępoty doktrynary.

Cóż powiedzieć o scenie z Dziewczyną Niemką? W tej popularnej scenie znalazł odbicie humanizm autora i jego prekursorski optymizm... Niemkę grają na przemian: Ewa Wolf i Wanda Wieszczyka, obie nienagannie.

Pokaźnie wzmocnił Kazimierz Braun akcenty tragiczne w scenach z Gościem I i Gościem II. Obsadzeni w tych rolach: Józef Onyszkiewicz i Piotr Wysocki są równie groźni wówczas, gdy są panami w frakach, jak wtedy, gdy przywdziwiają fartuchy pielęgniarskie. Czynności ich pod reflektorem lampy szpitalnej budzą przerażenie.

Jeśli tyle pochwał należy się wykonawcom poszczególnych epizodów, jakże zachwycać się trzeba nowym na lubelskim gruncie aktorem, Kazimierzem Borowcem, który odzwierciedla Bohatera na minutę nie schodzący ze sceny. Borowiec nie uległ pozorom, że Bohater jest „pusty”.

Borowiec wie, że jego Bohaterowi nadaje ludzkie oblicze postawa wobec „przepliwających przez jego wnętrze” postaci. I wie, że już samo nieprzyjmowanie danego modelu świata jest aktem protestu wymagającym odważnej decyzji. W gruncie rzeczy autor, reżyser i aktor sprawili nam nie lada niespodziankę: pokazali oni coś w rodzaju pozytywnego bohatera poprzez żarliwy nonkonformizm. Kto wie, czy gniew na łobuzów, cyników, kombinatorów, polykaczy samochodów, wili, stanowisk etc., nie podniesie w kocu Bohatera z łóżka.

Skoro jesteśmy przy Bohaterze, pora tedy wspomnieć o sekundującej mu prawie nieodstępnie w o wym „Józku” Sekretarce, której bezduszną lalkowatość kunsztownie ekspozuje Ewa Kania.

Warto poświęcić kilka słów epizodowi z „metaforycznym” psem. Gra go Piotr Wysocki (on też nieco infernalny Kelner w scenie węglarskiej) — gra z taką perfekcją i naturalnym wdziękiem, że w uczuciach widza zachodzi nieprzewidziana inwersja, psisko, mające uosabiać podłego lizusa, zdobywa ogólną sympatię. Ostatecznie Bobik też zostaje sprzedany, lecz co w takim razie z koncepcją osobistej odpowiedzialności moralnej? Gigantyczny kameleon ukierunkowałby wnioskowanie widzów-uczestników prawidłowej!

Popozostaję jeszcze wymienić Danutę Borowiecką, poprawną w niktnej roli Dziennikarki, oraz Zbigniewa Górskiego, Jerzego Schejbalę i Piotra Suchorę, asystujących bezgłośnie na uboczu działaniom w centrum (mówię — działaniom, bo akcja, jak wiadomo, nie ma). Czy słusznie postąpił Kazimierz Braun likwidując werbalne zadania Chóru Starców? Myślę, że słusznie, ponieważ sytuacja nie wymaga komentarzy.

Dobrym spoiwem spektaklu stała się muzyka Chopina. Znalazła się ona w ostrym kontraście z tym, co się dzieje na podłożu teatralnym. Część widzów potraktuje ten wspaniały podkład muzyczny jako gorzka ironię, inni znajdą w nim moralne alibi. Nie dla wszystkich pozytywce ze spektaklu będzie równy.

Kończąc mój skromny collage recenzyjny, muszę wspomnieć o scenografii. Nie wiem doprawdy, co trzeba to oddać cesarzowi, a co Bogu — co Jadwidze Pożakowskiej, a co Kazimierzowi Braunowi. Na podłożu nie ma nie oprócz rekwiizytów. I dobrze, iż różne struktury czy malowidła nie odwracają uwagi od ważkiego tekstu „Kartoteki”. Ale ściśle niezbędny „inwentarz” na podłożu nie wyczerpuje w danym wypadku koncepcji scenograficznej. Wiadomo, że dyr. Braun marzy o nowym gmachu teatralnym, wyobrażając sobie jego kształt na podobieństwo paryskiego Théâtre 71. Marzenie to znalazło odbicie w scenografii „Kartoteki” — w opracowaniu scenograficznym, do którego należało przede wszystkim „zremontowanie” widowni w ten sposób, by widowisko zostało „otoczone” widzami, celem ich aktywniejszego uczestnictwa w tworzeniu teatralnej esencji myślowo-emocjonalnej.

Można i tak, tylko sądzę, że o pełni uczestnictwa nie decydują zewnętrzne procedury techniczne. „Kartoteka” osiąga swój efekt również na scenie pudełkowej. Co się zaś tyczy gmachu teatralnego w ogóle, to wydaje mi się, iż konstrukcja teatru dzielnicji Malakoff chyba ogranicza możliwości inscenizacyjne do koncepcji obecnie modnych, a mody przemijają. Zresztą problem wymaga dłuższej dyskusji.

P RZECZYTAŁEM artykuł Tadeusza Graba w „Kamieniu” (nr 3) o gastronomii. Jako obywatel PRL oburzyłem się, że członkowie kilkunastu rodzin oraz ich bliscy krewni i powinowaci zajmują rozległą sieć stanowisk w różnych restauracjach, kawiarniach i administracji, a przypisywani na nadużytkach i zwaniastach z pracy szybko znajdują sobie nowe miejsca w tej konstelacji. Ale...

Pan Graba spojrzal na tę sprawę z punktu widzenia prawa i poczucia ładu społecznego, natomiast pominiął punkt widzenia konsumenta. A mnie, jako takiemu, dość obojętne jest, czy lokal, do którego idę, znajduje się w ręku jednej, dwóch rodzin (mają kierownikiem, żona bufetową, szefem kuchni szwagier kierownika sąsiedniej restauracji, a za to szwagier kierownika tej — szefem w sąsiedniej itd.); chciałbym natomiast, aby karmiła mnie tania, smacznie, zdrowo, sprzyjnie, w miłej atmosferze i scenerii. Gdybym miał do wyboru: stolować się u skumatrzonego z innymi gastronomikami, który karmi dobrze, lub stolować u faceta o czystych rękach i szlachetnym sercu, który uszkuje jest kiepskim fachowcem i od jego kuchni mogę dostać wrzodów żołądka, zawsze z czystym sumieniem wybiorę tego pierwszego, stronę materialno-praczą. Jego działalność pozostawiam odpowiedzialnym organom.

Pan Graba podał do wiadomości czytelników „Kamienia” fakty oburzające. Pominiął natomiast prawie zupełnie to, że gastronomia lubelska karmi nas podle. Ze z roku na rok jest coraz gorzej. Być może wpaździ z założenia, że o tym i tak wszyscy wiedzą, więc po co pisać. Ja jednak sądzę, że jest to sprawa poważna, jedna z najważniejszych i dlatego powinna być nieustannym obiektem zainteresowania organów opinii publicznej. Mamy dość teatr, słabą operetkę, słabą estradę, słabą plastykę, słabą sport — i z tym musimy się jakoś podzielić (co nie oznacza, iż nie myśleć przynajmniej) o zmianach na lepsze). Nie można nam jednak tolerować takiego stanu rzeczy, że członkowie przychodzą do restauracji, zamawiają obiad i zamiast porządnego dania mięsnego dostają białe chlebki, niedoziemny, niedopieczony, niesmaczny, źle strasny, a drogi. Tylko smaczniaki kieliszki czystej mamy pewność, że dostaliśmy czystą, być może lekko rozwodzoną, ale czystą.

W naszym centrum Lublina, przy ul. Norwida, znajdują się restauracja „Środmiejska”. Nie bardziej miłego niż ta nazwa i adres. Restauracja, choć zajmuje obszerny lokal, jest tak podreżnie urządzone, że nawet narzuca jej „Podmiejska” byłoby niezastępowalnym komplemen-

tem. Dziś w województwie lubelskim niejedna gospođa na odległej prowincji ma o wiele ładniejszą wnętrze. Natomiast niewiele jest chyba miast wojewódzkich, w których można znaleźć odpowiedniki lubelskiej „Środmiejskiej”: czyste, zadbane, z białymi ścianami, zlewnicami, obrotowymi, fontannymi nakryciami i salką barową, oddzielną od restauracyjnej jakąś tanią zastawą. W takim lokalu trudno utrzymać czystość. Zresztą żeby sprzątnąć po najstarszym, zawsze pozostanie wrażenie niechlujstwa. W takiej scenerii nawet najlepiej przyrządzony obiad nie będzie smaczny, tak jak pociniem.

„Środmiejska” nie jest wyjątkiem. W centrum Lublina czy na jego obrzeżu sporo takich za-

wego w charakterze lokalów... poza cenami posiłków. Nie urządzono w nim choćby szatni. To prawda, że miejsca tu mało, szatnia zajęta przez najgłośniejsze, ile zajmują dwa stoliki — lecz za to teraz ponownie siedzą w palcach czy grubych kozuchach, ciasno, jeden konsument opiera się plecami o plecy drugiego. W tej sytuacji trudno manipulować łyżką, nożem i widelcem, więc najwygodniej zamówić setkę czystej i siup do raju. A tzw. ustronna miejsce znajduje się na podwórzu. Uruga ono podstawianym zasądom higieny.

W całej Europie kształtuje się dziś wyraźnie nowy model zbiorowego żywienia. Duże zakłady niskich kategorii przekształca się w bezalkoholo-

Gastronomia lubelska wyraźnie ukierunkowuje się na lokale średniej kategorii, w których ceny mają skłonność wychodzić do góry, poziom obsługi do dołu. W których tworzą się warunki nie do konsumpcji przede wszystkim, ale do picia. Nawet reprezentacyjna „Europa”, ze swą wieleletnią renomą, stała się w godzinach nocnych zwykłą wódopójnią od czasu, gdy decyzją władz handlowych portierzy puszczają każdego do wnętrza.

Ale przecież mamy przykłady lokali profesjonalnych porządnie. Garnizony w kasynie oficjalnie nie przynosi deficytu, choć jest w nim czysto, smacznie i nie ta droga. Porządek w kasynie jest, nikt się nie awanturuje, nikt nie urzęduje bijatyk. I nie wynika to wcale z nadzoru sił porządkowych. Patrole WSW do kasyna nie zachodzą. Nie potrzeba. Zakład, jego kierownictwo i personel wytworzyły odpowiednią atmosferę. W kasynie można wpaść, ale nie upić się. Porządek w kasynie wynika nie tylko z wojskowej dyscypliny. Taka przecież nie obowiązują bywalców restauracji w hotelu „Unia”. A jednak ta nota placówka, własność „Orbis”, potrafiła od pierwszych dni zabrać u siebie o porządek. Toteż nie dziwnego, że kuchnia specjalnie nie konkurująca, wyrobiła już sobie dobrą opinię.

Skumatrzone rodziny rzędu lubelskiej gastronomii — dowodzi pan Graba. Może jednak sprzyja temu monopol WPPG? Tam, gdzie został on przełamany, jak w kasynie i „Unii”, tam i rezultaty są teledone. Nie widzę żadnych powodów, aby monopol ten miał być utrzymany bez końca. Czy nie można pozwolić, by LSS otworzyła restaurację nie tylko w alejce osiedli Mickiewicza, ale i w samym centrum? Lokale nierentowne dla WPPG są przekazywane agentom. Przydatność tej formy sprawdziła się. A może próbowano je najpierw przekazać do użytkowania przez LSS, by nie? GS-y prowadzą wiele dobrych gospod. Może sobie na pewno pozwolić i na 2-3 reklamowe zakłady w Lublinie, przeciwko stolicy województwa rolniczego? Jest to miejsce sporu lokali gastronomicznych, dziś służących niehandlowym celom. Trzeba dokonać koniecznie ich reorganizacji. W sytuacji, gdy konsument zabiega o miejsce przy stole w restauracji, a nie restauracja o konsumenta, łatwo gastronomom stworzyć kłopot.

Są to wszystkie sprawy wymagające jakichś radykalnych rozważań. W interesie mieszkańców miasta, w interesie przyjezdnych, a także w interesie tych pracujących gastronomii, którzy są uczciwi i którym dotychczasowa sytuacja ciąży najcięższe. Dobra opinia o lubelskiej gastronomii, o jej człowiek przyjeżdża do Polce jest od dawna martwym mitem, jednakże możliwym, a nawet koniecznym do ożywienia.

Jeszcze o gastronomii lubelskiej

W sidłach monopolu

Wiktor Łoboda

kladów gastronomicznych. „Litoska”, „Nadbystrzecka”, „Pod Karasim”, „Pod Barzją”. Czy serwuje egzotyczny „Bar Wietnam”, zapłaty, w którym pije się wódkę, przy szklaneczce, w palcach i kapeluszach. Albo (niezbyt sielentujstual) bar przy dworcu kolejowym.

Ostatnio wyremontowany został „Smakosz”. Jeden z najładniejszych zakładów w Lublinie, znajdujący się przy ul. Kościuszki, a więc bezpośrednio przynajmniej Krakowskiego Przedmieścia. „Smakosz” był typową wódopójnią, miejscem awantur i bijatyk. Teraz umieszczono w nim restaurację specjalizującą się w podawaniu drobiu. Zmieniono przy okazji nazwę zakładu na „Kaczuszek”. Zmiana ta nie uniósłła wiele no-

we bary samoobsługowe, nastawione na tanie karmienie konsumentów, dzięki szybkiej rotacji przynależącej zespołowi szatni. Małe zakłady również przechodzą na samoobsługę, przemieniając się w różne smaczno-bary, self-service’y itd., w których można znaleźć dwa czy cztery dania na porcję, ciupke ze zasma (ale zawsze są!), kilka zakąsków zimnych, kawę, napoje chłodzące, alkohol na kredyt. Wszystko na stojąco, czyli przy stoliku barowym, a to nie zachęca do długiego biesiadowania. Rotacja, rotacja! Dla gości chcących wydać więcej gotówki, posiadzieć, zabawić się, są mniejsze i większe restauracje drogich kategorii, lukusowe, z programami artystycznymi, dancingiem itd. i liczną obsługą, która nie tylko szybko podaje, ale i pilnuje, by planowo pojecha usnąć z sal.

Pojedynek

Wawrzyniec Berezecki

DNI lutowe 1917 roku spędziłem w Moskwie. Twerska, dziś Gorkiego, ciągnęła ku Kremlowi niesamowita procesja. Szli równym szeregiem żandarmi, ale o-toczeni uzbrojonymi robotnikami; szli nierówną gromadą popi rozmaitego wzrostu, o różnych brodach, nawet bez eskorty; szło kilkudziesięciu brzuchatych kupców o brodach jak łopaty, o lśniących tuszaczem twarzach, zapuchniętych oczkach — ci pod eskortą. Dalsze grupy były niewyraźną mieszaniną; kilkunastu oficerów w szynelach nie bardzo frontowych, kilku wesołych „pomieszczyców”, którzy ugrzęźli w Moskwie po hulance itp. burżuazja.

Co miało ich spotkać w Kremlu? Badania, kary? Ciekawskie tłumy z obydwu stron pochodu prostać chichotały, chwilami wystrzelały z tego rozgwaru mściwy okrzyk, ktoś cisnął ogryzkiem jabłka, które przeleciało nad prowadzonymi i trafiło w czoło Bogu ducha winną staruszkę po drugiej stronie.

Brałem udział w rewolucji w miarę uczniowskich możliwości. Czytałem przed zasłuchanym obrzymim tłumem na Placu Teatralnym jakąś odezwę, którą podniosłem z chodnika. Skandowałem okrzyki, których nauczyłem się już na pamięć, a nawet niósłem „na barana” zaspanego berbecia jakiegoś robotnika; zmęczony i splakany — miał dość rewolucji i odbywał się od czasu do czasu z mojego grzbietu do rozchełstanej matki: — Mama, czaju chocuz!

Po lekcjach w ewakuowanym do Moskwy gimnazjum mińskim — włożyłem się po różnych zakazanych uliczkach w poszukiwaniu rewolucyjnych scenek. Ale kiedy mi jakieś łobuzy zerwały po proletariacku gimnazjalny kaszkiet z głowy i skonfiskowały z otoku posrebrzaną „palmę” — wyniosłem się z tych ulic do dzielnicy bezpiecznych.

Znajoma rodzina chełmskiego diakona Jaroszyńskiego zaprotegowała mnie do fabryki pocisków armatnich. Skasowano olbrzymie zakłady włókiennicze nad rzeką Moskwą: „Manufaktura — Emil Ziendeł” — wyraźnie niemieckie — i przerobiono je na fabrykę ciężkich łusek do pocisków. Spacerowałem od obrabiarki do obrabiarki z miarką w kształcie podkowy i sprawdzałem, czy nie przekroczono obwodu. Dla wytechnienia wchodziło się do ciasnej kajutki, gdzie olbrzym — Gruzin w studenckim mundurze gościnnie zapraszał do herbaty: „Plej, duszła mają! Umnyj budeś!”.

Razu pewnego komitet zakładowy, oceniając mnie po moich okularach i bluzie gimnazjalnej, zaproponował mi prowadzenie sekretariatu. Złakłem się wysokiego stanowiska nie mając pojęcia, co bym miał tam robić, i grzecznie odmówiłem pozostając przy swej kontrolnej podkowie.

Większa pensja, bliższa komunikacja i brak pyłu żelaznego skusiły mnie do zmiany miejsca pracy. Był to „Brzeski Punkt Rozdzielczy Rannych”. Z pobliskiego dworca nadchodziły 2—3 pociągi na dobę po 200—300 rannych wprost z frontu. Byłem rejestratorem. Wraz z kolegami pędziłem do sal po piętach, gdzie już umyć, nakarmić i opatrzyć żołnierze leżeli w łóżkach. Przy

rejestracji najwięcej kłopotu miałem z Tata-rami i mieszkańcami krajów zakaspjskich. Wykosławiali język rosyjski, potykali samogłoski, a wszystkie rzeczowniki były w ich pojęciu rodzaju żeńskiego. Trudno ich było zrozumieć.

Nie mogłem pogodzić zajęć gimnazjalnych z pracą na Punkcie. Nocne pociągi lekcejm nie przeszkadzały, ale nadchodziły też partie rannych i przed południem lub z rana. Trzeba było zrezygnować albo z nauki, albo ze stanowiska.

Rozstrzygnął sprawę niejaki Klemczyński, rudyalec z Radomia, którego matka prowadziła aptekę w Samarze; rozpuszczony synek uczył się w Moskwie, akurat w moim gimnazjum.

Mieszkałiśmy we czwórce na kawalerce u stróża kamienicy, zarośniętego chłopiska, wiecznie żartującego ze swej miniaturowej polowicy, do której zwracał się dość osobliwie: — Czyżek — podaj buty!

Prócz mnie lokatorem kawalerki był syn popa chełmskiego Andrzej Wac, dryblas o palcach jak ogórki. Ten stale drwił z mojego „romantyzmu” i na kartce z wierszem do umiłowanej Niny Wiesteluchy powypalał papierosem kolejne „Niny”, które szczerze rozsyłałem we wszystkich przypadkach. Przyjeżdżaliśmy też do towarzystwa, aby taniej wynosiło komorne, Niemca Rinkego, pucołowatego, głaziatkiewicza maminaynika. Rinke zawsze nas godził i ubolewał, że dwumetrowy Wac jest takim prozackim realistą. Ten to Rinke właśnie sprowadził nam na kark pijusa Klemczyńskiego.

Kiedyś wyjechał ten zawałidroga do matki, ale wrócił za wcześnie. W tym czasie otrzymywaliśmy na kartki w najbliższej piekarni po bułce dziennie. Korzystając z nieobecności Klemczyńskiego konsumowaliśmy jego przydział. I oto zjawia się nagle rudyalec i żąda zwrotu zjedzonych bułek.

— Przecież miałeś być u matki dwa tygodnie! I tak by szcerstwiwały!

Na te słowa porywcy Rudy wali mnie pięścią po karku. Wac nie odważa się trącić licząc się z jego postacią wielkoluda. Rinke nudnym dyszkantem usiłuje zażegnać kłótnię apelując do honoru całej trójki.

Na kawalerce tej zdobyłem przewisko „Nobel”, a to dlatego, że kiedyś rozlała mi się po całej podłodze nafta do „primusa”, którą chowałem głęboko pod łóżkiem, gdyż koleżkowie nieraz dla oszczędności używali mojej. Wieczorami schodziło się więcej gimnazjalistów, rzępli w karty, zapilił wygraną oczyszczonym denaturatem i przepłatali to wszystko dziwaaczynym żargonem, w którym poczesne miejsce zajmowało uniwersalne powiedzonko „chuliż”.

— A chuliż ty będziesz wychodził z dziełkami!

— A chuliż ty będziesz spacerował z Anutką!

Leżałem z podręcznikiem fizyki Kosonogowa na swym przykrytym żelaznym łóżku i zacząłem już podrzymywać, kiedy usłyszałem ścisły szepot:

— Tego tak zostawić nie można... To sprawa honorowa... Obydwa wcinali cudze bułki, Wac może więcej niż Nobel, a na nim się

wszystko skrupiło... Nobel miał wyzwać Rudego na pojedynek...

Nasajutra wieczorem znów walkowano tę sprawę.

— Uderzył... To inaczej obraza czci... Znaczący pojedynek... — jakal się Białorusin spod Mińska, Bartoszewicz.

Podejrzewałem, że chodzi im o rozrywkę, o zabawienie się naszym kosztem — moim i Rudego. Sami zapomnieliśmy już o tym, pozostało tylko bozenie się i wzajemna miłkiwość.

— Majstruj twój pojedynek — donosił mi żywałwy Rinke.

Pewnej niedzieli grali bardzo zawzięcie, Klemczyński oberwał od partnera, bo coś skrzył, pito „zakrapiankę”, a spory były coraz gorętsze.

— A chuliż można taką zawzięcie zawiesić na kołku! Trzeba być dżentelmenem, a nie pomiotłem! — prawil uczeń z jakiegoś obcego gimnazjum.

Wreszcie żegnając się, dwóch obcych gimnazjalistów zwróciło się bezpośrednio do mnie:

— Kolega nie powinien tego zaniedbywać, to sprawa honoru... Kolegę będą lekceważyć...

Rolę pomocniczą wzięli na siebie sprzyjający mi Rinke i ktoś obcy z klasy Waca. Ten właśnie miał dostarczyć pistoletów. Broń po zajęciach lutowych płynęła w szkołach dosłownie rzeką. Sam widziałem, jak między ławkami w czasie lekcji podróżował spory colt.

Miałem za sekundantów Rinkego i Bartoszewicza. Kolejny wieczór karciany nie odbył się, gra się jakoś nie kleiła. W ponurym nastroju omawiano szczegóły przyszłego pojedynku. Udawałem, że śpię, ale w niedużej ciupce wszystko było słychać, choć radzono półgłosem. Na miejsce pojedynku wybrano historyczne Filly pod Moskwą, znane z czasów wojny napoleońskiej.

W całej tej imprezie wyczuwałem jakąś tajemniczość, jakby znowu. Szepty, uśmiechy, nieszczerłość głosów — wszystko to mnie zastanawiało. Jedni udawali powagę sytuacji, inni tuż obok szyczerzo żartowali bacząc, bym tego nie dostrzegł.

A no, co będzie to będzie. Napisałem list do Niny, lekeji na następny dzień nie odrabiałem, podręczniki związałem i dałem na przechowanie Czyżkowi. Ta para chłopów pochodziła z majątku jakiegoś magnata Biełozierskiego, toteż sądząc z podobieństwa nazwisk ubrdali sobie oboje, że jestem potomkiem owego grafa. Dla żartów nie prosto wałem ich błędy, a Wac nawet to popierał:

— Graf Nobel! Wasza kolejka dziś na wyniesienie pomyj!

Przed pojedynkiem udałem się wcześniej na spacer. Kilku gimnazjalistów dymilo papierosami i jakoś nie śpieszyło się im do domu. Kiedyś się po pewnym czasie obudził, spostrzegłem raptem, że towarzystwo dźwiębiło coś tajemniczo przy stole. Słysząc, że się poruszyłem na łóżku, zmitygował się i przerwał jakiegoś przygotowania. Zdziwiło mnie to, ale nie domyślałem się niczego.

Wyjechaliśmy wczesnym rankiem, wsiadaliśmy wszyscy do jednego tramwaju udającego się za rogatki miasta. Ktoś zaproponował, abymy wstąpili do przydrożnej trattierii, co naduło sprawie nieco weselszy odcięt. Nie dostaliśmy nic prócz kwaszonych ogórków, ale przez ten pomysł musieliśmy dalej iść pieszo, bo za długo wypadłoby czekać na następny tramwaj. Jakoś bawily mnie te przerwy i uspokajały: zdawało mi się, że to wspólna wycieczka na lono przyrody.

Zaczął się zagajnik, wybrano ładną polanę, zatrzymano się, sekundanci odłączyli się od nas i zaczęli się naradzać.

My obaj, ofiary tej insecenzacji, staliśmy z daleka jeden od drugiego, przybierając miny zawziętych wrogów.

Odmierzono 20 kroków, rozdano pistolety i oznajmiono nam, że damy tylko po jednym strzale.

Spostrzegłem, że Klemczyński przybił i pomachał swą bronią jakos niepewnie. Poczulem chłód w piersiach a zarazem zbyteczność i sztuczność całej imprezy, głupotę sytuacji. Ale zastanowiły mnie śmiertelnie poważne twarze sekundantów. Czyżby tak doskonale umieli się maskować, jeśli chodziło tylko o żarty ze mnie i z Rudego?

Wylosowano kolejność strzałów. Wypadło mi strzelać pierwszemu. Nie odważyłbym się nawet ranić przeciwnika: podniosłem broń do góry i przerasłem wystrzałem kilka wron, które zamierzały pogapić się na widok.

Ale Klemczyński widać nie miał zamiaru bawić się we wspaniałomyślność: długo celował we mnie i wreszcie wypalił. Poczulem, jak gdyby wiatr wionął na mnie kilku ziarnkami piachu.

Potem pchnięto nas ku sobie:

— Podajcie sobie ręce! Pogódcie się!

Wracaliśmy do miasta znów wszyscy w jednym wagonie tramwajowym.

Miny były skłupione, ale czytałem z twarzy sekundantów, że zaraz wybuchnie coś śmielesnego. Wreszcie któryś nie wytrzymał:

— Aleście, panowie, zmarnowali nam tyle stearyny!

Napięcie minęło w jednej chwili. Zaczęły się wesołe żarty, kpięno z nas, niedoszłych nieboszczyków, co niemiara.

Oczywiście organizatorzy tej heczy nawet w myśli nie mieli, aby wręczyć nam pistolety z prawdziwymi nabojami. Po prostu wyjęto kule i zalepiono proch stearyny. Teraz dopiero rozumiałem, czemu wystrzały były takie ciche.

— No, bo co! Wysłać kogoś na tamten świat z powodu kilku bułek! — zaśmiewał się jeden z kompanów.

Inny odezwał się poważnie:

— Ale ty, Kostek, chciałeś jednak w niego trafić, a może i zabić! A on cię oszczędzał...

Doniosło się o pojedynku do gimnazjum. Lysy, czarniawy, niziutki dyrektor Plaksin wezwał nas obu — i grzecznie zaproponował pożegnanie się ze szkołą. Nie zmartwiłem się zbytnio. Mogłem teraz więcej czasu poświęcić pracy na Punkcie, dokąd pociągi z rannymi przychodziły bez przerwy.

Autor tych wspomnień — przypominamy — był w okresie przedwojennym redaktorem odpowiedzialnym „Kamenu”. (Red.).



Rys. E. Ingłot

Reportaże Redlińskiego

KOLEJNY, drugi już tom reportaży Edwarda Redlińskiego* ma tę zasadniczą wartość, że bez osłonek ujawnia pewną prawdę, o której nasza publicystyka przywykła wstydyliwie milczeć, a o czym mówi się jedynie dyskretnie, do ucha przyjaciół. Te milcowanie, że nasz kraj trawiony bywa korupcją. Jawność obnażania przez Redlińskiego tej prawdy polega po prostu na stwierdzeniu oczywistych faktów, na przykład: „Aby mieć na czynsz, trzeba zarabiać, czyli pracować, czyli uczestniczyć, wbrew swej woli nawet, w rozgrywkach, grach, gierkach, spekulacjach” („Pustelnik”). A rezultatem tego schorzenia, tych układow, jest to, że niernormalne okazuje się powszechnością, regułą; normalne, że bez wykształcenia i na stanowisku, normalne, że to pigny, szlachetny zawód, ale bez pieniędzy, normalne, że ktoś nie może robić, a ma trzy pątyki („Normalnie, że niernormalnie”). Niewielu znam reporterów, którzy mają odwagę mówienia tego tak samo jasno

jak Redliński. Dlatego uznaję „Zgrzyt” za publikację o niebagatelnych wartościach. Wszelako reportaże tam pomieszczone grzeszą kilkoma mankamentami, które powyższemu walorowi, ujmują nieco blasku.

1. Jakiś dwuznaczny cień padł na samego autora. Otóż jak przystało, sądził zapewne Redliński, że pisarza i reportera tzw. zaangażowanego — nie wystarczą tylko stwierdzenia, lecz konstatując dawać zarazem recepty; na wydobycie zło odpowiadać od razu pozytywnym programem. Nieporozumienie! Historia uczy bowiem, że pewnych zauważonych zjawisk negatywnych społecznie nie sposób przewyciężyć w sferze teoretycznej (publicystyka, literatura), lecz zlikwidować je może generalna przebudowa określonej struktury współżycia międzyludzkiego, a to nie zależy bynajmniej od pisarzy i intelektualistów, bo oni jak władomnie dysponują możliwościami zwanymi po prostu administracyjnymi. Publicystyki funkcją pierwszą jest uświadamianie i urabianie opinii społecznej; wystarczy tedy samo po-

kazanie zła i zła tego ocena. Tymczasem Redliński chce uchodzić za reportera, który nie tylko widzi, ale i wie, jak w danej sytuacji należy postąpić. W reportażu „Katechizm” takich oto udziela autor rad swojemu bohaterowi: „...sztuka samoobrony polega między innymi na znajomości chwytów przeciwnika. Dlatego niech przeczyta, wynotuje, co podkreślone (z Machiavelliego — J. W.). Trzeba. A tą drogą chcę mu przypomnieć jeszcze, że jest dawno po studiach, niedługo trzydziestka, i najwyższy czas, aby przestał wierzyć w to, czego nauczono go w szkołach i organizacjach: że wszystko jest pięknie urządzone i oliwa na wierzch sama wypływa... bo sprawiedliwa”. Więc jak: na zło złem odpowiedzieć, na intrygę — intrygą, na fałsz — fałszem, na donos — donosem? Jeśli to nauka moralna, to najgorszego rzędu, wywodząca się ze starego przysłowia — „Jak wejdziesz między wrony...”. A zatem jeżeli w naszej rzeczywistości jednostka chce gościć swego, to musi wyzbyć się własnych zasad etycznych i moralnie upodobnić do społeczeństwa, które etycznie kwestionuje? Bohater „Katechizmu” jest naiwny, ale naiwność ta budzi sympatię i — więcej — szacunek, albowiem zachował on zasady, którym inni już poszczycić się nie mogą. A może Redliński, pouczając, ironizował? Jeśli tak — to zbyt skryta to ironia; obawiam się, że niewiele czytelników ją by spostrzegło, a wskazania autora wzmą za dobrą monetę i wtedy „Katechizm” miast uświadamiać społeczne zło, do rozmnażania tego zła się przyczyni.

2. Jest Redliński, powiedziałbym, reporterem nietypowym. Do publi-

cytyki przyszedł z literatury: najpierw wydał zbiór całkiem interesujących opowiadań „Listy z Rabarbaru”, potem dopiero zaczął publikować zbiory reportaży. Nie wiem, czy to dobrze, czy to źle. Wiem natomiast, że literatura zaważyła w sposób zdecydowany na reportażach zamieszczonych w omawianym zbiorze. I to jest, byłoby raczej, objawem pozytywnym. W tych bowiem reportażach, w których autor chciał być „typowym” reporterem, zachować „czystość” gatunku („Zakalec”, „List do pani S.”), poprzestać wyłącznie na autentyczności, na faktach, nie kreować, a opisywać obiektywną rzeczywistość — poniósł klęskę. Utwory te są nudne, pozbawione jakiegokolwiek stopnia czystości atrakcyjności. Tam zaś, gdzie autor kreuje sytuację i zaobserwowanych w rzeczywistości obiektywnych zdarzeń („Clucubabka”, „Sąd nieprzysięgłych”), uzyskuje znakomite efekty. Te utwory są opowiadaniem raczej niż reportażem. Podobnie do tych, jakie zna czytelnik pisarstwa Redlińskiego z „Listów z Rabarbaru”. Dwa nadto opowiadania: „Ogłoszenie drobne”, „Syzyf na rencie”, to dzieła, w których ujawnia narrator tożsame ze znanym z „Listów z Rabarbaru” uczucie sympatii do ziemi, do ludzkiej pracy na roli. Po nich poznamy, że występuje tam ten sam narrator, który w zbiorze opowiadań z 1967 roku wyznał: „kto wie, czy ojciec i ja nie jesteśmy ostatnimi z rodu, którzy zakryli konia odzieża i przy-raznili się z krowami...”. Wniosek z powyższego staje się wtedy oczywisty — Redliński bardziej jest pisarzem niż reporterem, toteż nawet może i szkoda, że od czterech prze-

szło lat poświęca się publicystyce, nie literaturze...

3. A największą mam pretensję do autora za język, którym się posługuje. Nie wiem jak wytłumaczyć raczej powszechną wśród rówieśnych autorowi „Zgrzytu” pisarzy i reporterów manierę, denerwującą manierę częstego używania słów z niższych nawet pięt niż tzw. mowa potoczna — żargonu lampenmłodzieżowego. Czyżby literacka polszczyzna okazywała się za uboga? Nonsens. Czyżby słownictwo z żargonu miało uatrakcyjnić narrację? Ewidentna bzdura. Dlaczego tedy narrator Redlińskiego powszechnie posługuje się takimi słowami: „ichnie”, „spartollic”, „zachachmęcić”, „kapować”, „psiakręć”? Toż to — prozę autora — obrzydliwość. A jeszcze na domiar neologizmów, jakie straszliwe, na przykład: „kobiety motykują warzywa...” Czy gdybym napisał, dajmy na to, reportaż produkcyjny z placu budowy i używał tam słów: murarze kielnią mur (cement)? — zaakceptowałby Redliński takie określenie? Niech sobie autor wyobrazi inne jeszcze nowotwory językowe, analogiczne do tych, jakie sam tworzy — mlotkuja, kilofują, maszynują (piszą na maszynie)... Okropne. A szkoda — w tak dobrym składniad zbiorze.

Jacek Wegner

* Edward Redliński: „Zgrzyt”, „Iskry”, Warszawa 1971, str. 240.

„Pruszcz”

JEST w Kazimierzu dom wynio-
sły, na wzgórzu za Jarą, spra-
wiający wrażenie opuszczonego,
choć ktoś w nim zapalone miesz-
ka. Ale jest to dom na pewno
samotny, bo człowiek, który na-
dał mu życie i treść symbolu,
zamordowany został w słoneczny dzień 1
sierpnia 1942 roku przez hitlerowców. Po-
zostało po nim 57 obrazów, obszerny akwit
w trzecim tomie „Historii Sztuki Polskiej”,
uczniowie, dla których był prawdziwym
mistrzem, a nie etatowym profesorem,
oraz tablica pamiątkowa tej treści:
„W tym domu pracował Tadeusz Pru-
szkowski, profesor i rektor Akademii Sztuk
Pięknych w Warszawie, Obywatel Honorowy
m. Kazimierza Dolnego...”
Obywatel Honorowy doczekał się tego
skromnego dowodu pamięci dopiero po po-

PRZED dziesięć laty
grupa działaczy kultu-
ralnych Zrzeszenia Stu-
dentów Polskich, sku-
piona w Krakowie wo-
kół osoby Karola
Droзда, podjęła rzucony pomysł:
organizujemy Festiwal Piosenki!
Czas był po temu sprzyjający. Pa-
miętamy przecież, że to właśnie
wtedy rozdziły się najpoważniejsze
masowe imprezy kulturalne, jakie
do dziś stanowią wizytówkę nad-
wisiańskiej mass-culture. Opierał
się młody jeszcze festiwal sopocki,
trwały przygotowania do pierwszego
spotkania twórców polskiej pio-
senki w Opolu. Pomysł zorganizowa-
nia ogólnopolskiego przeglądu
osiągnięć piosenkarskiego ruchu
studentckiego — nie był więc ni-
czym nadzwyczajnym.

A jednak od pierwszych swych
chwili krakowska impreza przybra-
ła kształt inny niż choćby wspomni-
ani tu jej profesjonalni rywale —
Sopot czy Opole. Stało się to za
sprawą fenomenu, jakim niewątpli-
wie była i jest piosenka studentka...
Wiele lat niemrawego kopiowania
obowiązujących wzorów muzyki
rozrywkowej minęło w 1956 r. Nie
przeceniając tego powiązania wiel-
kiej polityki i blądnej rozrywki,
trzeba wszakże przypomnieć, co
stało się kolebką owej odnowy. Ka-
baret, przede wszystkim zaś kabaret
studentcki!

Już w latach pięćdziesiątych
kształtowała się nowa forma spo-
glądania na rzeczywistość przez o-
kulary zaangażowanego sztylerstwa.
Studentki Teatr Satyryków w War-
szawie, gdański „Bim-Bom”, łódz-
kie nadszrenki „Pstrąg” czy „Cytry-
na”, krakowska „Piwnica pod Bara-
nami” czy również podwawelski
„Cyrulik” — a także wiele, wiele
innych zespołów — przeprowadziły
prawdziwą rewolucję na polskiej
estradzie.

Kto śledzi przebieg karier naszych
najpopularniejszych gwiazd estrady, z
pewnością wie dobrze, jak wiele z nich
swoją artystyczną roadshow wywiodło z
festiwalu krakowskiego. Mamy właśnie
przed sobą listę dotychczasowych lau-
reatów tej imprezy. Czytam: Ewa De-
marczyk, Bogdana Zagórska, Zdzisława
Sośnicka, Teresa Tutnias, Mirosława
Kowaluk, Urszula Sipińska, Marek Go-
łębiowski, Maryla Rodowicz, Marek
Grechuta, Jolanta Marciniak, Elżbieta
Igras... I jeszcze świetni amatorzy pio-
senki — dziś wybitni aktorzy: Edward
Lubaszewski, Ewa Pokas, Marta Kotow-
ska, Jerzy Piwowarczyk, Danuta Jamroz,
Urszula Popiel...

Zestawienie tych nazwisk mówi samo
za siebie. A przecież wiadomo dosko-
nałe, że także w Krakowie podczas
studentckiego festiwalu, po raz pierwszy
objawiły się publicznie talenty tak in-
teresujące jak Piotr Szczępanik, Leszek
Długosz, Kazimierz Grzełkowiak czy
Elżbieta Jodłowska.

Wiele miejsca poświęćmy wspo-
minkom i rozważaniom o prze-
szłości. Nie dziwcie się jednak. Pro-
wadzą one przecież do lepszego roz-
umienia znaczenia, jakie może
mieć dla piosenki w naszym kraju
tegoroczny 9 Ogólnopolski Festiwal
Piosenki i Piosenkarzy Studentkich.

Zaczęło się bardzo niedobrze: jak
mały Sopot Sopot jest już synoni-
mem pustego blichtru nadmuchiwa-
nych wielkości — chcielibyśmy, by
impreza krakowska miała cechy
przeciwnie, skromność i treść...

Listy do KAMENY

PO PROCESIE STUDENTÓW AM

W „Zyciu Warszawy” z 12 lutego br.
pojawił się artykuł J. Wotoszyskiej
„Po lubelskim procesie. Kwalifikacje
nie tylko zawodowe”. Zdziwiło mnie,
że artykuł na ten właśnie temat nie
ukazał się już wcześniej na łamach
pism lubelskich. Władze uczelni (Aka-
demii Medycznej w Lublinie) i organi-
zacje młodzieżowe, ZSP i ZMS, potę-

Kamena str. 10

nad dwudziestu latach od chwili tragicznego
zgonu, po głosnej kampanii prasowej i za-
biegach uczniów, może więc trzeba przypo-
mnieć, że kilka miesięcy zaledwie dzieli nas
od trzydziestej rocznicy odejścia Tadeusza
Pruszkowskiego i pora pomyśleć, chociaż po-
mysleć, o naszych obowiązkach wobec tego
człowieka i artysty. Już dziewięć lat temu
dr Stanisław Michalczyk, pracujący dziś w
lubelskich PKZ nad dokumentacyjnym utra-
conym historię prawdziwej Starego Miar-
ta, proponował przekształcenie pracowni
Pruszkowskiego w „muzeum zasłużonego ma-
larza i jego uczniów”. Propozycja ta prze-
szła wolą uczeniów bez echa, jako że hierarchia
spraw kazimierskich układała się inaczej i
wbrew zasadom zdrowej wyobraźni kultu-
rowej, wojewódzki opiekun muzeum w Ka-
zimierzu trząszczył się o porosity i chrapasz-
cze, które miały ukiećnić dział przyrodni-
czy nieszczęsnej placówki.

Dziś sprawy układają się pomyślniej: mgr
Jerzy Zuławski, człowiek doświadczony i
dobrze wsłuchany w rytm kultury artystycz-
nej, zamierza uczynić z kazimierskiego mu-
zeum obiekt na miarę historycznego bogact-
wa miasteczka — jeśli mu nikt nie przesko-
dzi. Proponuje m. in. urządzenie ekspozycji
wewnątrz mieszczarskich w najwybitniejszych
działach architektury mieszczarskiej w Pol-
sce — w kamienicach Przybyłów „Pod św.
Mikolajem” i „Pod św. Krzysztofem”. Widać,
że ludzie rozsądni mają zblizzone zdanie: w

roku 1963 dr Michalczyk sugerował rekon-
strukcję wnętrza kamienicy XVII-wiecznego
pastryczyska — tyle że Celejowskiej.
Może więc teraz, w okresie rządów kom-
petentnych, Tadeusz Pruszkowski ponownie
zamieszka w swojej dawnej pracowni, lub
w innym jakimś miejscu, byle kazimierskim,
jeśli to pierwsze rozważanie jest na razie
niemożliwe. 1 sierpnia 1972 roku powinno
się przecież jakoś zaznaczyć, choćby wysta-
wą malarza.
Pruszkowski, postać domagająca się pióra
i historyka kultury artystycznej w Polsce, i
autora sensacyjnych „kieszonkowców”. Z
godnością profesora i rektora Akademii Ię-
czył swoje idee malarskie, których spełnie-
nie widział w sztuce monumentalnej i czy-
telnej dla wszystkich. Jego uczniowie za-
łożyli w roku 1925 ugrupowanie pod biblijną
nazwą „Bractwo św. Łukasza”, kontynuując
nauki mistrza, przywołując na pomoc świet-
nych Wenejan, Holendrów i Hiszpanów.
Wśród nich był Antoni Michalak, mieszka-
jący do dziś w Kazimierzu, który w 1939
roku wraz z B. Cybisem, J. Gotardem, J.
Kubickim, J. Wydrą i J. Zamojskim, no i z
mistrzem na czele — opracował cykl obra-
zów z dziejów państwa polskiego na Wysta-
wę Światową w Nowym Jorku.
W ubiegłym roku w salach muzeum to-
ruńskiego widziałem retrospektywną wysta-
wę Antoniego Michalaka. Wielkie obrazy o
tematyce symbolicznej i historycznej, już nie

moje obrazy, choć portrety nadal wydają
mi się znakomite. Zakurzona tradycja? Nie
takie to znów proste, bo oto w katalogu
warszawskiej grupy „Aut”, złożonej z arty-
stów młodych, urodzonych w latach ceter-
diestych, czytam wyznaczenie Janusza Petry-
kowskiego, szefa zespołu:
„Egzotykę sztuki polskiej stanowił ton god-
ności nadawany tematowi przedstawianemu
— można powiedzieć, ekspresja godności,
ważności i sensu — określona stabilnym,
monumentalnym stylem o formie głęboko
mystycznej... doszliśmy do realizacji, które
powiedziały nam o tym, że droga naszego
myślenia i odczuwania zbiega się bezpośrednio
z torem, który umożliwił stworzenie
Wielkiego Stylu Polskiego”. Pod takim tek-
stem mogłoby zapalone podpisać się całe
„Bractwo św. Łukasza”.
Ale Pruszkowski to nie tylko malarz i pe-
dagog, od 1923 roku wycofujący uczniów na
plenery do Kazimierza, gdzie przenosił swo-
ją szkołę z pomorskich Kartuz. To również
autor filmu „Wesoły wiecielec, czyli Kalifor-
nia w Polsce” oraz pilot awionetki, na któ-
rej szalał nad kazimierską plażą.
A prawdę mówiąc, to ani Pruszkowski —
malarz, ani Pruszkowski — rektor, ani Pru-
szkowski — Obywatel Honorowy, ani Pru-
szkowski — pilot, tylko po prostu Tadeusz
Pruszkowski. Postać.
IJK



3 Festiwal Piosenki Studentckiej w Krakowie. Reprezentanci Lubliń: Wiesława Lubiarz i Tadeusz Badach.

Festiwal studentckiego śpiewania

Jan Poprawa



Salon Niezależnych: Jacek Kleyff i Andrzej Tarkowski. Fot. J. Stokłosa

Pierwszą imprezą krakowskiego
spotkania z piosenką był więc po-
myślany monumentalnie koncert
laureatów dotychczasowych festi-
wali. Prawdę mówiąc jedyną
laureatką, która wystąpiła podczas
tej inauguracji, była Teresa Tut-
nias, najmniej chyba reprezentaty-
wna postać w dorobku odrębności
studentckiego śpiewania. Obok niej
widzieliśmy jednak wiele postaci
ciekawych — choć nie mających
szczęścia do nagród: Zembatego,
Umer, Jodłowską. Rewelacyjny od
długiego czasu Jonasz Košta, naj-
wybitniejsza chyba dzisiaj postać
piosenki polskiej, jak też niezrów-
nani w innej parafii NOVI SIN-
GERS, nie uratowali imprezy, która
przełatała przede wszystkim przez
swą napuszczoną celebrację...
Albowiem jedną z najbardziej
chwytających za serce cech imprez
organizowanych w środowisku stu-
dentckim zawsze była, jest i chyba
będzie atmosfera bezpośredniej i
nieco rozwichrzzonej zabawy. Często
łączy się ona z improwizacją orga-
nizacyjną, wszak także i organizator-
zy festiwalu tego typu są amato-
rami, nie tylko uczestnicy... Nie-
mniej wolę nawet chaos, jeśli tyl-
ko prowadzi on do udanej zabawy,
niż przesterosty dyrektorskich ambicji
w sytuacji, której istotą ma prze-
cież być śmiech czy niepewność...

Na szczęście złe wrażenie, jakie
zrobiła inauguracja, zostało rychło
zatarane bardzo interesującymi pre-
słuchaniami konkursowymi.
Co roku narzekania na niski poziom
prezentowanych wykonawców i utworów
prezentowanych w Krakowie były sta-
łym elementem recenzji prasowych.
Chyba tym razem będzie inaczej. Po
raz pierwszy podczas 9 Festiwalu Pio-
senki Studentckiej postanowiono
zastrzeżyć kryteria kwalifikacyjne. W
tym celu jeszcze przed finałowym
spotkaniem w Krakowie cały kraj obje-
chaliśmy specjalna Komisja artystyczna,
mająca wyeliminować żenujące nie-
kompetencje czy nadmiar niezasad-
nionej wiary w siebie, jakie często są
jedynymi cechami uczestników amato-
rskich konkursów piosenek. Wynik prac
przygotowawczych był widoczny. Pod-
czas koncertów w ciasnej sali krako-
wskiego kina „Apollo” nie słychać
było wcale śmiechów z kandydatów, co
stanowiło niestety jedyną atrakcję pre-
stesań eliminacyjnych. Wszyscy nie-
mal wykonawcy zaprezentowali niezłe
warunki wokalne oraz wiele większy niż
dotąd szacunek dla praw rządzących
profesją estradową. Niejeden z krako-
wskich kandydatów do nagród już dziś
osiąga poziom właściwy ścisłej czołów-
ce zawodowych gwiazd piosenek. Wy-
mienić tu trzeba przede wszystkim
wrocławianki — Wiesławę Kubicką
(Iuareakie z Zielonej Góry) i Krystynę
Krotowską, a także odwieczne cudowne
dziecko — Martę Martelińską. Wiele osób
zachwycało warunkami głosowymi (Be-
ata Lewińska czy młodsza siostra Sośnicki-
ego — Ewa Sarenki), wiele wyróżniała
spora kultura muzyczna...

Albowiem przecież festiwal ten przede
wszystkim repertuarem stoi. Nie
więc dziwnego, że walory osób tu
wymienionych zmarnowały się
zwyczajnie przez mizerię wykony-
wanych utworów. Dlatego też, a
może i dla faktu, że nie było jed-
nak indywidualności wyróżniają-
cych się zdecydowanie, jurorzy po-
stanowili nie przyznawać pierw-
szej nagrody w konkursie wyko-
nawców. Drugie miejsce rozdzielono
między Tadeusza Karmazyna z
Gdańska, dojrzałego choć niedo-
skonalego technicznie i Pawła Bi-
rulę z Tarnowa, szalenie muzykal-
nego członka zespołu gitarowego,

dla którego występ krakowski był
debiutem solowym. Trzeci miejsce
zajęła sympatyczna Roma Bucha-
rowska z Bydgoszczy, której talent
przebił się przez koszmarnie wtró-
ny repertuar...
Jeśli jednak festiwal wykonaw-
ców studentckiej piosenki minął w
tym roku bez rewelacji, to trzeba
przyznać, że elementem decydują-
cym o pozytywnym ocenie całej
imprezy był konkurs na piosenkę.

Od wielu lat czekaliśmy na sło-
wa własne młodych twórców stu-
dentckich. Na ich piosenki, które
miałyby określić postawy nie obo-
wiązki, na płochę zwierzenia o po-
wadze ich spojrzenia na świat. Cze-
kaliśmy na wydobyć się z ma-
gicznych kół wtórności i naśladow-
nictwa. Narzekając, ale przecież
wierząc ciągle, że właśnie w kaba-
recie studentckim tkwi siła, która
tehnie życie w stygnącą miłość.
I chyba ziściło się. Przesadne byłoby
oczywiście twierdzenie o twór-
czości studentckiej na podstawie jej
najciekawszych przejawów. Na-
prawdę przecież nadal szczyty się
belkocik, coraz sprawniejsza gra-
fomania, świadome i nieświadome
zapożyczenia... Jednak pojawił się
na krakowskiej imprezie zespół
młodych ludzi z warszawskiego ka-
baretu „Salon Niezależnych” i to
wystarczyło, by uznać sens spotka-
nia „Salon” miał kilka atutów.
Więc zespołowa piosenka „Balon”,
do przesydy aż śmieszna w pełnym
powagi przedrzeźnieniu literackiego
głupstwa, jakie nas otacza, więc
przezabawna etiuda kabaretowa za-
tytułowana „Jajco holenderskie
blues” wykonywana przez Andrze-
ja Tarkowskiego, wreszcie piosenki
Marcina Wolskiego wykonywane
przez najwybitniejszą postać krako-
wskiego festiwalu — Jacka
Kleyffa. „Dobre wychowanie”, pio-
senka-laureatka głównej nagrody,
jest pierwszą od lat próbą określe-
nia stanowiska pokolenia wobec
tego, co dlań jest ważne naprawdę.
Jest to próba powiedzenia w for-
mie ballady tego, o czym dyskutuje
się najbardziej niechętnie wśród
młodych: jacy są? Pojawienie się
na estradzie studentckiej pierwszych
od lat piosenek w dobrym tego sło-
wa znaczeniu — zaangażowanych,
politycznych, aktualnych, stanowi
wydarzenie. Być może otworzy ono
oczy i usta wielu zdolnym i in-
teligentnym twórcom, jakimi szczył
się studentcki światek...

Ciekawil mnie niepomniernie wy-
stęp skromnej ekipy lubelskiej.
Dwie osoby reprezentujące nas w
Krakowie, choć nie przywoływały
nagrody, zebrały sporo pochlebnych
uwag. Wiesława Lubiarz i Tadeusz
Badach posiadają jednak w chwili
obecnej zbyt wiele niedostatków w
technice wykonawczej, by odnieść
sukcesy, do jakich upoważniałyby
ich talenty. Obydwoje też zniknęli
za indywidualnością obecnego w
Krakowie przez swe piosenki kom-
pozytora Włodzimierza Marczyka,
który jak mało kto potrafi stwo-
rzyć prosty i melodyjny przebieg.
To wielki talent, dla którego przy-
dałoby się miejsce w konkursie o-
rolskim.

„Szkoły niemieckie na Zamojszczyźnie”

W związku z artykułem J. Doroszew-
skiego pt. „Jak utworzono szkoły nie-
mieckie na Zamojszczyźnie”, zamiesz-
czonym w nr 1 (48) „Kamena”, zdu-
kowanym w ten przytoczony nazwiska
nauczycielki Marii Roguskiej z Zamo-
ścia — proszę o wyrażenie czytelnik-
kom, iż wzmianka o wyznaczeniu osob-
ni na nie wspólne ze znaną obecnie
nie w Zamościu nauczycielką Techni-
kum Elektrycznego p. Marią Roguską,
Fatalna zbieżność imienia i nazwiska
posiadała przykre komentarze wobec
osoby, której praca dla polskiego szko-
lnictwa nie podlega żadnej dyskusji, za-
mówionej w swej pracy nauczycielki,
odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Alicja Witkowska
nauczycielka V Lic. Ogóln.
w Lublinie
(córka Marii Roguskiej)

piły sprawie napadu. Ponadto za-
wieszono tych studentów w pracach
i usunięto z organizacji młodzieżowych.
Tak też pisał J. Wotoszyska, uza-
sadniając podane fakty opiniami za-
sięgniętymi u przedstawicieli organi-
zacji młodzieżowych. W wypowiedziach
studentów uderzały próby zrzućcia ca-
łej winy — bo tylko to było ważne:
kto zwinął i kogo obarczyć odpowie-
dzialnością — na uczelni i słabość
pracy wychowawczej, przez nią prowadzo-
nej. W opiniach tych, nie komentowa-
nych przez autorkę, data się jednak
zawzięcie coś znaczące bardziej niepo-
kojącego, mianowicie próby usprawied-
liwienia kolegów i pomniejszenia ich
przestępczego czynu. Mówiono m.in. że
„oni bardzo potrzebowali pieniędzy” i
oburzano się nie tyle okład samego
czynu, ile „nautonomia” w sposobach
realizacji pomysłów. Nie dyskutowano
nad samą istotą tego czynu, że studentki
IV roku medycyny, ze dwa lata leka-
rze, mogli być żądni do pobicia star-
szej, bezbronnej kobiety, żony swojego
profesora, i groźenia jej śmierci —
dla pieniędzy! Gdyby się „impreza”

udała, sprawcy byłiby może uznani,
„po cichu”, za bohaterów tego unikal-
nego „określu”.
Osobiście wydaje mi się, że artykuł
był zbyt pośpiesznie i powierzchniowo
opracowany — na podstawie zbyt ską-
pých relacji. Nie sądzę bowiem, by
studentki reprezentujące organizację
młodzieżową mogli w ten właśnie spo-
sób wypowiedzieć się. I dlatego artykuł
ten nie powinien być jedynym, jaki
się w tej sprawie ukazał; nie zwalnia
on „Lubina” od publicznego zajęcia
stanowiska.
Oby sprawcy doszli do IV roku
studia, byli aktywnymi działaczami
organizacji młodzieżowych. Czy ich
charakter i sposób bycia na on dzień
nie budziły w nikogo niepokojów?
Wprowadzić prace wychowawcze na
uczelnia jest szeroko rozumianym spo-
łeczny stanowiąc i tylnikiem — opie-
kunów lat, domów studentckich, ko-
misje senackie i dziekanatki do spraw
młodzieży, rady pedagogiczne — ale czy
ktoś interesuje się programem działal-
ności wychowawczej, jej efektami?

Nasze organizacje młodzieżowe po-
winniśmy czuć się odpowiedzialne za po-
stępowanie swych członków. Natomiast
ze strony uczelni, jej władz i respo-
lubnie asystentów, należałoby stuzić po-
mocą przy opracowywaniu programów
działalności wychowawczej.
Nasza się jeszcze zapadnięcie rekru-
tacji na studia medyczne. Czy nie
należałoby uprotoczyć dla tego zakresu,
wymagającego bodajże najliczniejszej „hu-
manitaryzmu” i odpowiedniej postawy
społecznej, dodatkowych warunków,
determinujących przyjęcie na studia? Spo-
soby i tryb rekrutacji są dziś krytycz-
nie dyskutowane. W „Zyciu Warszawy”
z 16 lutego br. w artykule „System
rekrutacji na studia wyższe” autorka,
doc. I. Nowakowska, przytacza m.in.
projekt Fr. Januszkiwicza, który pro-
ponuje oparcie rekrutacji o maturę i
testy szparytacyjne, dotyczące intelligen-
cji i cech osobowości kandydatów. Czy
wprowadzenie tego rodzaju testów nie
byłoby szczególnie przydatne w rekru-
tacji na studia lekarskie?

Prof. dr J. Opieńska-Blauth

Czy Roosevelt jeszcze żyje? To było pierwsze pytanie, jakie sierzant Jokoi zadał po wylądowaniu w Tokio samolotu, który przyniósł go z wyspy Guam, gdzie przez 12 lat ukrywał się z drużyną. Ten urozowiony kiedyś podoficer 29 dywizji Armii Mandżurskiej pozostał wierny zasadom, w których wychowywano go od dziecka: żołnierz Jego Cesarskiej Mości często umiera, ale nigdy nie poddaje się i nie poddając się, sam siebie skazuje na najbardziej przytłumione warunki życia, czekając na

swą część wyspy, budowali lotniska, magazyny, porządkowali porty, ale drobne oddziały japońskie wciąż ukrywały się w dżungli i prowadziły swego rodzaju walkę partyzancką. Po kapitulacji Japonii dziesiątki tysięcy żołnierzy wzięto do niewoli, czekając na

swą część wyspy, budowali lotniska, magazyny, porządkowali porty, ale drobne oddziały japońskie wciąż ukrywały się w dżungli i prowadziły swego rodzaju walkę partyzancką. Po kapitulacji Japonii dziesiątki tysięcy żołnierzy wzięto do niewoli, czekając na

swą część wyspy, budowali lotniska, magazyny, porządkowali porty, ale drobne oddziały japońskie wciąż ukrywały się w dżungli i prowadziły swego rodzaju walkę partyzancką. Po kapitulacji Japonii dziesiątki tysięcy żołnierzy wzięto do niewoli, czekając na

Epopeja żołnierza tragedii człowieka

ostateczne zwycięstwo swojej ojczyzny. Gdy usłyszał, że od śmierci tego prezydenta Stanów Zjednoczonych minęło już prawie 27 lat — zemścił. Nie z żalu, przeciwnie — ze szczęścia, bo dopiero wtedy ostatecznie ustąpił, że wojna przetrwała skądś się. Zemścił po raz drugi, gdy pokazano mu zdjęcie cesarza z jego ostatniej podróży do Europy — człowieka starego, w cywilnym ubraniu, któremu nikt już nie oddawał czci boskiej. Czy zrozumiął wtedy, że jego obrzytmia ofiara była daremna, czy też odwrotnie — że spełnił swoje zadanie? Ktoż to wie...

W piątym dniu wojny japońsko-amerykańskiej na Pacyfiku desant japoński obsadził wyspę Guam, położoną prawie 3 tys. km na południowy-wschód od Tokio, otwierającą drogę na Hawaje i Australię. 25-letni wtedy sierżant Jokoi pełnił służbę garnizonową. Pod koniec 1941 roku, gdy siły japońskie ponosiły coraz to nowe porażki i klęski na Pacyfiku, 29 dywizja została przeniesiona na wyspę Guam, aby wzmocnić tamtejszy garnizon. W połowie 1944 roku ląduje tam amerykański 3 Korpus Desantowy. Zacięte walki trwały kilka miesięcy. Amerykanie opanowali więk-

Sierzant Jokoi miał ze sobą ośmiu żołnierzy, którzy podobnie jak on poddanie się uważali za największą hańbę. Aby się łatwiej ukrywać, podzielili się na trzy grupy. Sierzant wraz z dwoma żołnierzami wykopali głęboką jamę na pobliżu rzeki. Siedzieli tam przez całe dni, wychodząc tylko nocami, aby złapać ryby, ślimaki czy żaby, lub zbierać dzikie owoce i jarzyny. Na każdym kroku obawiali się zasadzek. Ale w rezultacie żyli coraz bardziej nerwowo, dochodziło do nieporozumień, wręczcie rozstali się. Sierzant został sam, czasem odwiedzały się. Gdy pełnego dnia sierżant poszedł w odwiedziny, znalazł tylko dwa trupy zmarłych z wycieńczenia ludzi.

Teraz więc Jokoi zorganizował sobie całkowicie samotne życie. Poniżej z mundurku nie już nie zostało, jako krakwiec z cywilnego zutekował zabrał się do uszycia ubrania. Wyciągnął wótkona różnych roślin, wysuszył je i zrobił z tego coś w rodzaju materacu, ręcznie przetykając nitki. Kolejny powstały w ten sposób trzy „ubrania”, podobnie sandały. Praca nad jednym „ubranem” trwała dwa lata. Aby nie stracić panowania nad strunami głosu, Jokoi

Tak płynęły dni, miesiące, lata. Nacięciem na korach drzew znaczył upływający czas i dziwił się, że wojna trwa tak długo. Na niebie pokazywały się coraz więcej samolotów, były coraz większe i szybsze. To turysty z całego świata najpierw przyjeżdżali tu, aby oglądać pozostałości wojny, potem, aby spędzić wakacje. Niektóre z nich były samolotami japońskimi. Ale schowany w swojej jamie sierżant o tym wszystkim nie wiedział, przypuszczał, że to wciąż latają amerykańskie samoloty wojenne.

24 stycznia 1972 roku dwa rybaków, Jesus Duenna i Manuel Garcia, zловили sieci rzeczne, cięsząc się, że odkryli nie eksploatowane dotychczas miejsce. Zmęczeni, położyli się spać i obudzili się w nocy. W świetle księżycy dostrzegli jakiś przesuwanący się cień. Przypuszczał, że to pewien młody chłopak z ich wsi, nieco pomysłowy, który często uciekał z domu.

Ale Jokoi myślał, że został odkryty. Przypomniał sobie, że cesarski kodeks wojskowy karał śmiercią za poddanie się bez oporu. Rzucił się utec na rybaków gładząc ich i kopiąc. Rybaków bez trudu dali sobie radę z ostabionym

Jokoi w tej chwili znajduje się w szpitalu Shinjuku na przedmieściu Tokio. Lekarze podejrzewają, że w wyniku gwałtownego zrenikcja się z dziesięciu cywilizacji sierżant może w każdej chwili spaść na ciężką chorobę psychiczną. Wyleczenie amemii nie jest problemem. Na uniwersytecie toksykologii przeprowadzono ankietę wśród studentów, którzy mieli ocenić postępowanie sierżanta. 89 procent studentów nie rozumie jego postępowania uważając, że z chęcią zakończył wojnę ponieważ był poddany. Partie prawicowe usiłują zrobić z niego swego bohatera, przedwojenny pomnik cesarskiej Japonii. W Tokushima czterej chłopcy znaleźli śmierć pod osniewnym płaszkiem w jamie, jaką drążył na wóz Jokoi. Pewien fabrykant odzieży chce odkupić od niego prawo wyrobu takiej samej odzieży i narwanie jej jego imieniem. Szokici nie rozumie, dlaczego za to ofiarowuje mu się 25 tys. dolarów.

Tak skończyła się epopeja ostatniego już chyba żołnierza drugiej wojny światowej. Ale czy skończyła się tragedia człowieka, który wrócił do świata po 28 latach pokaże przyszłość.

falsetem

»Fiatem« - dalej

FABRYKA Samochodów Osobowych na Żeraniu zorganizowała za pośrednictwem Polskiego Radia konkurs na hasło reklamujące Polakiego Fiata. Napłynęło ponad 29 tysięcy odpowiedzi: długo debатовano nad tym, komu przyznać trzy pierwsze nagrody. Wreszcie

werdykt zapadł. Słuchaniem jednym uchem, toteż Grand Prix uszedł mojej pamięci, udało mi się jednak zapamiętać dwie kolejne reklamówki: „Zima, latem — Polskim Fiatem” oraz „Polski Fiat — wiewiat!”. Reklamówki są więcej niż miżerne, nagrody również, więc nie dziwię się, że Melchior Wańkowicz ze swymi znakomitymi „Cukier krzepa” czy „Lotem” — bliżej — nie stanął w szranki konkursu. Jeśli jednak mimo to napłynęło ponad dwadzieścia tysięcy haseł i hasełek, fakt ten ma głęboką wymowę: jesteśmy społeczeństwem nie tylko nastawionym motoryzacyjnie, ale i poetycko. Romantyzm, wbrew temu, co się mówi i pisze, głęboko siedzi w polskiej psychice. I wcale nie jesteśmy malkontentami. „Polski Fiat — wiewiat!” — ów optymistyczny slogan świadczy o tym najlepiej. Zastanawiam się, czy nadeszłyby ponad 29 tysięcy odpowiedzi, gdyby FSO ogłosiła konkurs na antyhasło? Nie jestem i nie zamierzam ani w bliższej ani w dalszej przyszłości stać się posiadaczem

czterech kółek, toteż chętnie zaprezentowałbym swoje credo w tej materii. A więc na przykład: Draniem jesteś, a nie bratem. Kiedy jeździłaś Polskim Fiatem. Mówię tobie: koński zad łpaczy już nie Polak Fiat. Zadań strata, gdyś bez Fiata. Szach i mat: Polski Fiat. Lepiej wozem, lepiej batem, niż kręcić Polskim Fiatem. Drogę grał: Polski Fiat. Biedna chata, gdy masz Fiata. Płaczą dziewczki, żona, tata, gdyś za kierownicą Fiata. Narobisz się, nalączysz i tak nie kupisz Fiata. Dobrze radę ci zapamiętaj: Fiatem artysty dojeżdżasz z cementarza. Nie zjeżdż, nie wypijesz i na Placiku nie zacięsz.

Wystarczy. Mam nadzieję, że dyrekcja FSO na Żeraniu prześle mi teraz ceną nagrodę w postaci... no, ostatecznie może być i taka — Polskiego Fiata. W przeciwnym razie pozwolę sobie na mały szamant: rozpropaguję moje hasła za pośrednictwem Polskiego Radia, prasy, parków, a w najgorszym wypadku — miejsce użyteczności najbardziej przywanej, gdzie pisze się jeszcze szczerzej i jeszcze dośladniej. Jak nie dacie mi Fiata, będę na was nalatać! To ostatnie — dyrekcja FSO na Żeraniu i jeden z dyrektorów tego zakładu, mój szkolny kolega Jurczak Hledek, mogą traktować jako pierwsze poważne ostrzeżenie. MAJ P.S. Ekscentualnie zamiast Fiata może być Syrenka, motocykl, motorower, rower, hulajnoga lub zwykłe roki. Tenisówki odesi. P.S. P.S. „Fiatem” — dalej, codzie, co?

felieton z rezerwy

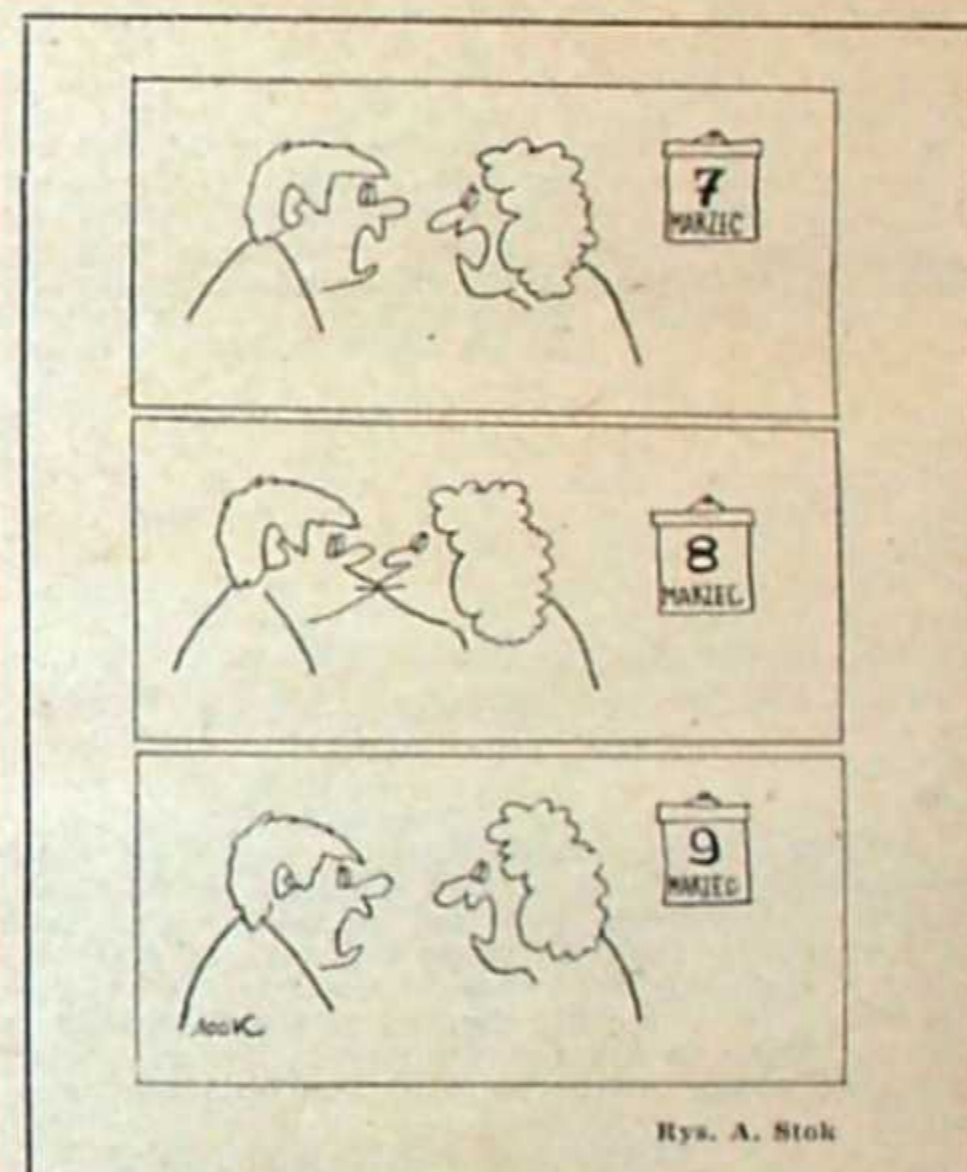
Dowód miłości

POPRZEDNI numer „Kamień” ukazał się przed Świętem Kobiet, bieżący — po święcie. Redakcja uczyła je dwoma rysowniczkami, ale to przecież zbyt mały hołd oddany naszym paniom. Może więc czas sięgnąć do tych listów, na które dotychczas nie udzieliliśmy odpowiedzi, a które traktują niejednokrotnie o niezmiernie żywotnych sprawach miłych czytelniczek? W naszym piśmie nie mamy wprawdzie rubryki w rodzaju „Kulisy sere”, ale brak rubryki bynajmniej nie oznacza, że zajmujemy się tylko Literaturą, Sztuką i Polityką. Nie, co

ludzkiego, nie może być nam przecież obojętne. I tak p. Lucyna P. pisze do nas: „Mam chłopca, który mówi, że mnie kocha. Chodzimy ze sobą już sześć lat, ale on nie chce mi dać żadnego dowodu miłości. Mówi, że dopiero po ślubie. A co będzie, jeśli po ślubie okaże się, że ma tylko dowód osobisty?”. P. Lucyno! Dowód osobisty świadczy, że jego posiadacz osiągnął już wiek dojrzały. Z dowodu osobistego będzie Pani mogła łatwo spisać jego imię i nazwisko, zawód, miejsce zamieszkania i stan cywilny. Nie radzimy więc lekceważyć tego dokumentu, zwłaszcza że dzisiaj tylko na jego podstawie, po uzyskaniu odpowiedniej pieczęci w MO, można wyjechać do NRD. Bliższe szczegóły w tej sprawie uzyska Pani w Biurze Paszportów. P. Barbara J. skarży się, że jej małżonek po całych nocach gra z niemowlęciem w brydza. „O ile wiem — informuje nas z troską — w brydza gra się w czworke. Obawiam się, że dziecko nie pozna dobrze zasad gry i w przyszłości może mieć kompleksy. Co robić?”. P. Barbaro! W pełni rozumiemy Pani zaniepokojenie. Trudno nam jednak cokolwiek radzić skoro nie wiemy, jakim zapisem gra Pani mąż z niemowlęciem,

czy to jest brydż sportowy, czy też oboje grają na pięciopalcu. Jeśli na pięciopalcu, to po ile za punkt? Gdyby Pani ze swojej strony opanowała arkana brydża, moglibyście Państwo grać we trójkę z dzieckiem. O ile nam wiadomo, prawdziwego dziadka można wypozyczyć na godzinę w usługowej spółdzielni studentekiej „Zaczek”. Jeśli dziadek z „Zaczeka” nie zechce grać w brydza, może wykazać luno zdolności, czego Pani serdecznie życzymy. P. Zofia R. ma inne kłopoty. „Henryka — pisze — poznałam przed dwoma laty. Był miły, grzeczny i uczynny. Przyznał mi kwiaty, likier, rzadko mnie bił, a jeśli nawet, to nie po twarzy, starał się też nie robić mi sińców. Ostatnio bardzo się zmienił. Przyznosi tylko koniak francuski, którego bardzo nie lubię, od trzech miesięcy ani razu mnie nie uderzył. Sadzę, że bije inna. A on ma takie ładne ręce, boję się, żeby mu się nie stało coś złego”. P. Zofio! Bywa, że kobieta bije tę drugą, w danym wypadku nie jest więc jeszcze tak źle. Koniak francuski likier, Znamy zresztą wzmianki na liker. Znamy zresztą panie, które właśnie specjalnie lubią koniak francuski, sadzimy, że bardzo by Pani rozdrobiły. Adresami tych pań chętnie służymy. I one i pan Henryk będą z pewnością zadowoleni. Natomiast jeden z naszych kolegów po piórze chętnie wypije z

Panią butelkę likieru strażackiego. Przy okazji pogawędzicie o poezji. I jeszcze z listu p. Ireny B. „Mój mąż wyszedł z domu i nie wrócił. Powiedział, że idzie po kwiaty z okazji Święta Kobiet. To było trzydzieści pięć lat temu. Gdy się teraz zjawia, czy mam mu wybaczyć?”. P. Ireno, bardzo nie lubimy, gdy ktoś sobie z nas żartuje. Święto Kobiet zostało ustanowione w latach powojennych, albo więc Pani pomyliła daty, albo też mąż poszedł po kwiaty z innej okazji. Nie wiemy, jaka to była okazja, stąd trudno udzielać jakiegokolwiek rady. Jeśli jednak poszedł rzeczywiście po kwiaty, nie widzimy powodu do zmartwienia. Raczej powinna się Pani cieszyć, że jest taki czuły. A w domu bez niego nie powinno żyć się spokojnie. Tyle razy już to słyszyliśmy! Dalszą korespondencję na wzmiarkowane wyżej tematy prosimy kierować bezpośrednio do „Przekroju”, „Przyjaciółki” i „Zwierciadła”. My mamy własne, prywatne kłopoty. Taki Ijon, na przykład, nie na to miejsce nie napisał i musieliśmy grzebać się w tej smutnej korespondencji. Zamiast sprawdzać dowody miłości, grać w brydza, pić koniak francuski i wachać kwiatki... Pogratulujemy. Ładne Święto Kobiet! Karo



Rys. A. Stok

Noty i notki

Jeden z popularnych w Lublinie malarzy ukończył obraz, na którym jedną z głównych postaci jest — podobno — znów jego żona. Miotkarom warto przypomnieć, że był taki malarz, który 23 razy namalował tę samą postać. Do takiego rekordu lubelskiego artysty nie udało się nikomu. A tym pierwszym był Van Gogh, twórca 23 autoportretów. Zadzwoń do mnie pocztowe Biuro Złeczeń i zrozpaczoną głosem telefonistki zapytało: proszę pana, kiedy odbył się ostatni Zjazd Związku Literatów Polskich? Na odpowiedź, że przed dwoma tygodniami, Biuro Złeczeń oburzyło się głosem telefonistki: że też pan ma czas na żarty. A właśnie że mam. Na ulicach i jezdnich jest coraz więcej wypadków drogowych, podnoszą się głosy, by przedłożyć i utrudnić naukę przed egzaminem na prawo jazdy. Tymczasem w prasie lubelskiej ukarują się ogłoszenia LOK, że organizuje ona przyspieszone kurazy prawa jazdy. Aby w tempie przyspieszonym postać nas na drugi świat. „Kurier Lubelski” (nr 4) donosił, że podobno grzyzenie pestek dyni pomaga zwalczać nalóg palenia, w związku z czym jego reporter widział, jak „w bardzo ważnej instytucji na nie mniej ważnej konferencji prowadzącej ją również ważna osobistość grzyła przez trzy godziny pestki”. Od tego czasu grzyzie mnie pytanie: grzyć czy nie grzyć, bo palenie rzucić warto, ale nie wiem, czy warto nasilać ową osobistość, gdyż reporter zapomniał napisać o najważniejszej rzeczy: o kogo chodzi. I w ten sposób to, co mogło stać się anegdota, jest zwykłą plotką. Niemal w przedmówieniu Święta Kobiet w korespondencji z Wrocławia w „Kurierze Polskim” przeczytałem taką przegniebiającą wiadomość: „Jedynie grzebiel kobiet stał na poziomie godnym mistrzostw Dolnego Śląska”. A jaka część kobiecej anatomii byłaby godna mistrzostw Górnego Śląska? „Mam nadzieję, że uda mi się w tym szkicu mówić o adreśtach nagich kobiet (...) nie używając ani razu słowa pornograficznego”. No i jak na owej pornograficznej wiadomości, czyżby udało się oddzielić języka artystycznego od języka zwykłego? W tym samym numerze „Nurtu” Andrzej Janowski pisze o swoim pobycie w Nigerii stwierdzając, że „nawet wieśniactwo są szlachnie pouberane”. Tymczasem na serli zdjęć, ilustrujących owe wspomnienia, pokazano kilka prawie zupełnie nagoch wieśniaczek. No cóż, jeszcze i dzisiaj język kłamie głosem, a głos myśli kłamie... A jednak młodych ludzi, mimo że udają dorosłych, nie należy zapraszać na pewne imprezy, nawet jeśli są to konferencje grające. B. Maciejewski z ramienia swobodnego „In” był na — jak pisze w nr 3 — niewygodnej pogawędce przytoczył, czyżby konferencji prasowej zwaną z okazji przybycia w Kraków wyjątku „Wenus 72”. Auber niby to wybrzydza, ale w gruncie rzeczy ciszy się, bo „ze ścian kłują się nasz dziełczyzny (w liści 48)”. Tak go to wykręcał z równowagi. Ze poszem nie sążal ani do słownictwa wyrażone obcych ani do słownictwa niemiecko-polskiego i napisał „ktoś z sak zaproponował zwischnur jak wypróbowana galicyjska metoda dyktowania”, co miało nastąpić po wyserpaniu listy mówców. Niebezpieczna za rzecz wniknąć konną takie czy inne upodobania. Barbara Rancisz w Tygodniku Kulturalnym (nr 3) tak pisze o aktorze Teatru Wybranych, Andrzeju Biedaszkowi: „aktor sceniczny amirantem, dążył do wyrażenia, aktor jak aktor, gra różne role, nie zawsze przyjemne”. Sławowski poprzednio grał Kentia, Szwarcowa i Juranda. Bardzo wspanie, czy do dwóch poprzednich uniformów miał sentyment, w dodatku szczerą.

Odpowiedzi redakcji

A. K. w Lipie. Sprawa jest delikatna. Zwykle w takich wypadkach odsyłamy ludzi do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, którego siedziba mieści się w Lublinie. Lecz w Pani przypadku nie sądzimy, aby to miało sens. W ogóle wydaje nam się, że pojęcia poety ludowego w dalszym ciągu nie jest zbyt precyzyjnie określone i istnieje tutaj możliwość swego rodzaju nieporozumień osobowych. To jedna kwestia. Wierze nie zdradza uślońskich literackich, ani nawet rozumienia we współczesnej poezji. Można powiedzieć, że jako autorka jest niewłaściwa poezją i patriotyczna. W tak zwanym życiu taka postawa to rzecz cenna, w pełni wszak poezję i nawet patriotyzm nie są kategoriami, którymi można by mierny wartości estetycznej. Udhajemy ludziom tłumaczyć to od dawna, widocznie ze słabym skutkiem. I to druga sprawa, co do której chcemy się z Panią porozumieć. Za „faktami pozdrowień” składamy uprzejmye dzięki.

W. Z. w Lublinie. Proszę Kolegi, sadzimy, iż należy wybrać kierunek sądów zgodnie z wykształceniem iredim. Nieporozumieniem jest, kiedy młody człowiek idzie na studia humanistyczne tylko dlatego, że w pewnym momencie poczuł skłonność literacką. Znowu sprawa często przemijająca się w naszych kontaktach z autorami, toteż o niej piszemy. Żadne studia humanistyczne z polonistyką na czele nigdy jeszcze nie nauczyły nikogo, jak się wierze tworzy, nauczyły natomiast, a przynajmniej powinny nauczyć, jak się wierze bada. I to jest pierwsza możliwość nieporozumienia, którą trzeba sobie wyjaśnić. I w tym przypadku wierze nie zdradza rozumienia w dziedzinie poezji. Tak czy stak do matury trzeba się będzie solidnie przygotować z pol-

skiego, wychodząc poza tradycyjny kanon lektur: Broniewski, Tuwim, Gałczyński. Za stałą lekturę naszego piśmnia tylko wdzicim być możemy. Za „śledzenie, co oferuje p. Henryk Makarski”, wdzięczny, oczywiście, może być tylko sam autor.

J. Ch. w Krakowie. Nie nadzwyczajne te Pańskie fraszki, najlepsza publikacja: „Na niektóre audycje telewizyjne — wizja, sonia, monotonia”. Ogólnie rzecz biorąc, teksty nie są dowotne, choć przynajmniej absolutnie prawdziwe i szlachne spostrzeżenia. Nie wydaje nam się Pańska sytuacja literacka zupełnie beznadziejna, toteż do pisania nie zniechędźmy, musi Pan tylko starać się „rozprząść” swoje teksty w placzyźnie językowej. Szlachność myśli — owszem, lecz to musi być ubrane w zwięzłą i dopiętą formę językową, inaczej czytelnik zaczyna złudzić, a przecież nie o to chodzi fraszkopisowi. Czasem to forma jest rzeczą najważniejszą, myśli wówczas nie musi być nawet intelektualnie wyrafinowana. O to choćby wemny taki tekst: „Jeśli daro masz te książki i spełna w waku pieniaki, chwalcie twą rzecz, gościu bracie! bo nie przypodobać ku utracę! Jeśli jednak dał co z taszki, nie kupiesz! Jedno fraszki”. W ten sposób artykułował rzecz swoją sam mistrz Kochanowski.

J. W. w Warszawie. Wierze zakwalifikowane do druku, ale czy nie zdaje się Pani, że zbyt kategorycznie żada Pan „przebieżone” publikacji? Mam nadzieję, że w jednym numerze utworów do druku i mamy możliwość „puścić” w jednym numerze utworów do druku. Tak wygląda maza naszej bezradności. Nieraz przychodzi autorowi czekać, powiedmy, rok. Czyż cierpliwość, proszę Pana, oto cnota konieczna w takiej sytuacji.

E. Z. w Katowicach, J. I. w Kłobucku, J. R. w Kolobrzegu, „Ehbie-ta-Anus” w Lublinie, R. T. w Białymostku — teksty nie zostały naszej akceptacji.